Nr. 33. Warszawa, dnia 1 (13) Sierpnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARCK.

II.

Bismarckowie są Brandenburczykami. Jedno z ich gniazd leży w Starej Marchii, ziemi niegdyś słowiańskiej. Sama nazwa obwodu administracyjnego, do którego należy rodowe Bismarcków Schönhausen, Jerichow II, świadczy o dawnych ziemi tej panach. Po traktacie wiedeńskim, gdy Prusy zyskały nową prowincyę, Saksonię, przyłączono do niej i Schönhausen. Bismarckowie byli szlachtą, ale mizerną; rzadko kiedy nazwisko ich wybłysło na widnokrąg pamięci historycznej. Urodzony jeszcze w XVII w. jeden z przodków żelaznego kanclerza w wieku następnym szukał szczęścia po świecie; znalazł je w Rosyi, został generałem i za cesarzowej Anny był znakomitością wojskową i polityczną. We własnym kraju żaden z Bismarcków w XVII i XVIII się nie odznaczył. Ojciec wielkiego człowieka, Ferdynand, siedział na roli, używał szlachectwa, obdłużał majątek tak, że w r. 1830 musiał więcej niż połowę jego sprzedać. Ożeniony z Wilhelmina Ludwiką Mencken, córką radcy gabinetowego Fryderyka II, miał z nią sześcioro dzieci, a czwartem z nich był urodzony d. 1 kwietnia 1815 r. Otto Edward Leopold Bismarck — przyszła wielkość Niemiec.

W szóstym już roku życia oddano Ottusia z domu do Plamanna, pedagoga berlińskiego, który już wówczas hodował jego starszego o lat sześć brata, Bernarda. W r. 1827 chłopiec wszedł do gimnazyum Fryderyka Wilhelma w Berlinie; na stancyi stał u Francuza, Bonnella; przylgnął do niego i do całej rodziny, mowę francuską wraz z francuskiem życiem polubił; ale niezwykle żywy, roztrzepany, przytem niesforny i hardy, tak zalazł swemu wychowawcy za skórę, że rodzice musieli go gdzieindziej umieścić. W latach 1830—32 najwyższe klasy kończył w szkole „zum grauen Kloster," zakładzie również berlińskim. Po skończeniu rwał się do Heidelberga, gdzie wykładano dobrze, ale burszowano jeszcze lepiej: o pierwsze nie dbał, drugiego lękała się matka: uznano za mniej niebezpieczną Getyngę, i tam też młody bursz pojechał. Zjawił się odrazu z wielkim psem i z wielkim humorem. Pierwszego dnia zaciągu do uniwersytetu pokazał już, co umie: zrobił awanturę, za którą dostał się przed sędziego. Skazany na kozę i talary, nie stracił animuszu; wkrótce zrobił nową zwadę i miał pierwszy pojedynek; dwadzieścia siedem innych jeszcze nastąpiło po tym najpierwszym w ciągu trzech semestrów nauki; w jednym z nich otrzymał cięcie, po którem została mu szrama na całe życie. On, Brandenburczyk, zapisał się do Corps'u Hanowerczyków, których miał kiedyś obedrzeć. Przez cały czas uniwersytetu miał towarzyszów wesołości, ale nikogo bliskiego sercu, żadnego ściślejszego stosunku, dającego choćby złudzenie przyjaźni; do nikogo nie lgnął, nikogo nie potrzebował, opryskliwością każdego odpychał. Nic się prawie nie uczył, a uczyć się miał prawa. Sam o sobie mówił, że nie wie, „czy dwie całe godziny przesłuchał z uwagą." Nie przeszkodziło mu to jednak już po trzech semestrach być skończonym prawnikiem teoretycznym.

Nic dziwnego, że egzamina urzędnicze szły ciężko. Słusznie drwili z niego przeciwnicy, kiedy początkującego polityka brali jeszcze lekko, że na auskultatora (protokólistę) sądowego dostał się w r. 1835 przez piec. W latach 1835—6 próżnował zawiązek kanclerza w Stadtgerychcie berlińskim; w r. 1836 dostał się na jakiegoś urzędnika administracyjnego do Akwizgranu, a dopiero po zyskaniu kwalifikacyi przez drugi egzamin sądowy w r. 1837 został referendarzem w regencyi potsdamskiej. Na wielkanoc jako 1838 jednolatek szlachecki wchodzi do batalionu strzelców gwardyi w Berlinie; na jesieni przeniósł się do Gryfii (Greifswald), aby być bliżej Eldeny, gdzie miał się poduczyć rolnictwa, aby zostać gospodarzem. Po śmierci matki w r. 1839 obejmuje wespół z bratem Bernardem dobra Kniephof, Külz i Jarchelin, na Pomorzu pruskiem, wielce obdłużone i zaniedbane. Po śmierci ojca w r. 1845 dostaje na własność pierwszy z tych majątków wraz z niesprzedaną częścią rodowego Schönhausen, gdzie na stało osiada. W r. 1846 zostaje z wyboru współobywateli najpierw nadzorcą grobli i tam (*Deichhauptmann*), a potem posłem na sejm prowincyonalny w Merseburgu. Życie dotychczasowe wywołuje w nim niesmak przesytu; zdolności, których burszostwo stłumić nie zdołało, domagają się pola do działania, a sejmik gospodarczy zaspokoić ich nie może. Nastaje, przelotny zawsze w takich czysto praktycznych, wszerz, nie w głąb rozrastających się naturach, okres biernego, cierpiącego indywidualizmu. Bismarck myśli o wyjeździe za morze, do Indyj wschodnich. Zmrok taki trwa przecież krótko: energia, która miała w nim potęgę talentu, odzy-

skala swo prawa: zamiast jechać do Indyj, Bismarck poszedł d. 28 lipca 1847 r. do ołtarza — z p. Joanną Puttkammer. Teraz dopiero żyć zaczął.

Ten sam rok, 1847, wprowadził Bismarka w zawód ściśle już polityczny. D. 3 lutego Fryderyk Wilhelm IV ze starych stanowych reprezentacyj pruskich wytworzył nową: tak zwany „sejm złączony" (*Der Vereinigte Landtag*); z sejmu prowincyonalnego dostał się dziedzic Schönhausenu do tego niby ogólnie-pruskiego, jako zastępca posła Brauchitscha. Trzydziestodwuletni człowiek, jeden z najmłodszych w sejmie, zarysował się odrazu jako najzagorzalszy Prusak, junkier i wstecznik pałający nienawiścią ku wszystkiemu, czem owe czasy romantyzmu politycznego w Europie brzemienne były.

Kiedy inni mówili o Niemcach, on wpatrywał się tylko w Prusaków i sam Prusakiem się tylko czuł i junkrem. Rozkoszował się we wsteczuictwie. Z pogardą mówił o gazetach, o gazeciarskich gryzmołach i kopyściach.

Przy równouprawnianiu Żydów oświadczył się Bismarck przeciwko dopuszczaniu ich do urzędów. Wtedy to, d. 15 marca 1847 r., powiedział: „Tak jest, grzęznę w przesądach, wyssałem je z mlekiem matki i nie dam się co do nich przegadać." Pochwycił skwapliwie przezwisko dane junkrom i urobił je w zaszczytne dla siebie zawołanie: „Tak jest, należę do tego kierunku, który deputowany z Krefeldu ciemnym i średniowiecznym nazywa, do tego kierunku, który jeszcze ma odwagę wystąpić przeciwko owemu swobodniejszemu rozwojowi chrześciaństwa, zalecanemu tu przez tegoż samego posła. I nie wypieram się też tego, że należę do owej wielkiej gromady, która przeciw inteligentniejszej części narodu występuje (zarzut taki uczynił był dep. Nauman z Poznania), do tej gromady, dla której chrześciaństwo po nad państwem stawiane, za wysoko stoi." Wszakże celem państwa było wówczas dla Bismarcka „urzeczywistnianie nauki Chrystusa."

W drugim Sejmie Złączonym, już po rewolucyi marcowej, Bismarck był jednym z bardzo nielicznych przeciwników adresu do tronu z podziękowaniem za ustępstwa. Rewolucya już i jego oskrobywać zaczęła. „Przyjmuję adres jako program na przyszłość— spowiadał się —bo inaczej bym nie wybrnął"; ale dziękować nie myślał. D. 5 kwietnia 1848 z powodu wypadków w Poznańskiem i wyrażonej przez Fryderyka Wilhelma woli urządzenia tej prowincyi na nowych, potrzebom jej lepiej odpowiadających zasadach, okazał liberalnemu ministeryum Auerswalda-Schwerina taką uprzejmość, że zapytał je: czy zapytać się pozwoli? Wtedy już widocznie myślał o wkupieniu się w łaski ministrów. Junkrem być nie przestał. Kiedy d. 10 kwietnia radzono nad podatkami, zbijał potrzebę zniżenia opłaty od mlewa po miastach. „Jest to tylko *captatio benevolentia* — zawołał — ustępstwo dla ducha czasu." We dwa lata później (d. 20 marca 1852 r.) powiedział: „Prawdziwego ludu pruskiego nie szukać po miastach. Prawdziwy lud pruski raczej, gdyby się miasta ponownie porwać chciały, będzie je umiał posłuszeństwa nauczyć, chociażby je miał z oblicza ziemi wygładzić."

Nie wybrano go ani do parlamentu frankfurckiego, ani do pruskiego zgromadzenia narodowego; znalazł się dopiero w drugiej Izbie pruskiej, wybrany z Brandenburga. Tutaj, d. 12 marca 1849 r., przemówił przeciwko zniesieniu stanu oblężenia w Berlinie, a przedtem jeszcze zebrał petycyę za utrzymaniem i sam ją na stole prezydującego złożył. W dziesięć dni później oparł się amnestyi: musi ją dać król z własnego natchnienia; nie mają do niej prawa buntownicy; amnestyami osłabia się w ludzie poczucie prawa, a wojsko podnieca się tylko do srogości; płaczliwy sentymentalizm obraca się przeciw ludzkości. I tak, z pobudek rzetelnej ludzkości, Bismarck na amnestyę nie pozwalał.

Tydzień polityczny. Salisbury miał w Izbie wyższej mowę o drogach żelaznych w Chinach, a w rzeczywistości o drodze z Birmy do porzecza Jang-tse-kiangu. Kto tę drogę dostanie— nie wiadomo. Rząd chiński słusznie rozdaje innym to, czego nie chcą brać sami Anglicy. Tak Rosyanie dostali koncesyę na kolej, prowadzącą ku północy po nad zatoką Peczyli. Chorobliwą jakąś manią jest dopatrywanie się wszędzie współzawodnictwa Rosyi z Anglią. Wszystko idzie właściwą drogą; a gdyby nie szło, Anglia nie omieszkałaby na mocy traktatu w Tsen-tsinie zaprotestować.—*Times* i *Standard* nie są z tej mowy zadowolone.

Nowoje Wremia donosi o odstąpieniu Rosyi przez Menelika Raheity nad M. Czerwonem. Nad Raheitą Włochy wykonywają protektorat.

Ces. Wilhelm prosto z Bergen d. 31 z. m. zawrócił do Europy. D. 2 b. m. był już we Friedrichsruh, gdzie dla niego umyślnie urządzono nabożeństwo za Bismarcka. Cesarz wydał reskrypt do wszystkich w imieniu swojem i narodu niemieckiego. Sławi w nim czyny „wielkiego kanclerza pod Wilhelmem Wielkim."

D. 4 b. m. zmarł we Lwowie arcybiskup lwowski, metropolita Sembratowicz.—W Galicyi wschodniej, w Przychodach, wymordowano całą rodzinę żydowską.

W sobotę i niedzielę odbywali Banffy i Thun wobec Gołuchowskiego, Kallaya i ministrów skarbu obu połów monarchii rokowania o ugodę — bez skutku.—Czesi podobno robią ustępstwa. Thun ma teraz znowu układać się z Niemcami.

Procesy Esterhazego i Paty du Clama zaczynają się rozpływać w dobrotliwości sądów francuskich, nakręcanych przez prokuratorów.

Hiszpania przyjęła warunki, ale podobno z zastrzeżeniami. O zawieszeniu broni jeszcze niema doniesień pewnych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

REFORMA PASPORTOWA.

Niedawno pisma doniosły, że wkrótce będzie rozpatrzona i uregulowana sprawa pasportowa w Królestwie Polskiem. Cesarstwo ma już w ży-

---

2)

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

III.

Potężnem dłutem jakiegoś demona musiały być wyrzeźbione rysy praojca Sema, jeśli mógł je przekazać po lat tysiącach milionom potomków swoich w niepokalanej czystości.

I ja też nie byłem wydziedziczonym albo upośledzonym pod tym względem. Od lat najwcześniejszych twarz moja poczęła wołać głosem wielkim: oto syn Izraela!

Wyraźne te oznaki powierzchowne, występujące coraz jaskrawiej z biegiem czasu były też bezpośredniem źródłem pierwszego zetknięcia się mego z „kwestyą żydowską."

Pewnego razu, gdy byłem już dziesięcioletnim chłopcem, dość na swój wiek rozwiniętem, matka moja, przesuwając pieszczotliwie dłonią po gęstych czarnych mych włosach, uniosła nagle tę dłoń pieszczącą do góry, jak gdyby coś ją sparzyło. Wydało mi się w tej chwili, że jakiś wstręt i przestrach odbił się nagle na twarzy jej delikatnej.

— Muszę ci zaraz włosy obciąć — powiedziała, nie patrząc na mnie.

— Ale, mamusiu, przecież mi jeszcze nie odrosły! — rzekłem zdziwiony wyrazem jej oczu i pośpiechem w słowach. — Zresztą, po cóż masz to robić sama? Poślij mię lepiej do fryzyera.

Nic mi na to nie odpowiedziała, jakby zmieszana i zakłopotana i poczęła spiesznie obcinać mi włosy przy samej głowie. Machinalnie wziąłem do rąk jeden z tych drobnych, króciuchnych kosmyków... i nagle po raz pierwszy spostrzegłem, że były one bez połysku, a zwijały się w brzydkie pojedyncze kółeczka.

A wtenczas i sam zapewne spojrzałem na matkę z podobnym lękiem i wstrętem, jak ona na mnie przed chwilą.

— Mamusiu — zawołałem — wszak ja mam włosy jakieś murzyńskie, czy żydowskie! Patrz jakie szkaradne! Rozumiem teraz doskonale dlaczego obcinasz mi je zawsze tak krótko... i dlaczego czynisz to sama... kochasz mię i... wstydzisz się za mnie! Ale skądże, skąd tak obrzydliwa wełna wyrosła mi na głowie?!...

Matka, usiłując zapanować nad zbyt wyraźnem zmieszaniem, odparła mi pospiesznie:

— Cóż znowu ci się roi? Włosy takie jak twoje dość często wyrastają, ale ja lubię, żeby chłopiec był ostrzyżony jak najkrócej — nie znoszę pretensyonalności.

— Pocieszasz mię, mamusiu! Ale moje włosy to całkiem co innego. Co innego to piękne, duże błyszczące pierścienie, co innego ta gruba matowa wełna barania! Zupełnie jak u każdego wstrętnego żydziaka!

Matka moja spojrzała znowu na mnie jakoś dziwnie i płomień oblał twarz jej całą.

— Proszę cię, dziecko moje, nie mów nigdy tak pogardliwie o żadnej narodowości! Zakazuję ci tego. Murzyni, cyganie, żydzi — to ludzie podobni także i również rozmaici w ułomnościach swych i cnotach, jak i my wszyscy.

— Nie gniewaj się, mamusiu! — zawołałem, ale przyznam ci się szczerze, że ani do murzynów, ani do cyganów, ani do czerwonoskórych — doprawdy żadnego wstrętu nie czuję... Tylko Żydów nie lubię i wprost brzydzę się nimi!

— Milcz! Nie pozwalam, nie pozwalam ci tak mówić! — przerwała matka tak gniewnie i z takiem drżeniem wzruszonego głosu, że osłupiałem na miejscu. — Nie masz najmniejszego prawa mówić o nich w ten sposób i nie masz o nich najmniej-

ciu taką reformę od lat czterech; polega zaś ona na tem, że zamiast dawnych paszportów rocznych zaczęto wydawać książeczki na pięć, a nawet dziesięć lat. Należy tylko co rok przykleić markę odpowiednią, kasowaną przez zarządy policyjne. Nie na tem jednak kończy się całkowita reforma i to, co istnieje w praktyce jako zasadnicza zmiana, nie jest jeszcze zmianą całego systemu paszportowego. O dalsze ulgi dopominają się sfery prawodawcze i społeczeństwo. Ponieważ i u nas już jest na porządku dziennym tak doniosła kwestya, ponieważ ona ściśle się wiąże z ekonomicznymi, społecznymi i kulturalnymi warunkami bytu i rozwoju ludności, a nawet jest ważnym czynnikiem w tych warunkach, więc uważamy za stosowną chwilę obecną do spojrzenia w głąb owych zjawisk życia.

W całem państwie już oddawna kołatano o usunięcie systemu nieodpowiedniego i uciążliwego dla ludności. Jak zaś ta sprawa była zawsze doniosłą i codzienną, świadczy nawet uwiecznienie jej przez poetę rosyjskiego jeszcze przed kilkudziesięciu laty:

Gdy bez paszportu kroczysz w życia matni,
Tyś nie wart tyle, co ten pies ostatni.

Ustanowiony odpowiedni dowód legitymacyjny potrzebny jest w każdem społeczeństwie; różną on jednak odgrywa rolę, stosownie do zwyczajów, kultury, nawet czynników socyologicznych danego społeczeństwa. W Niemczech warunkiem bezpieczeństwa i wolności cudzoziemca jest paszport. Bez niego najuczciwszy, najczystszy człowiek, najpożyteczniejszy, najzasłużeńszy obywatel nietylko swego kraju, ale nawet całego świata cywilizowanego może dostać się do więzienia jak zbrodniarz, jeżeli nie posiada paszportu. W innych krajach, gdzie jest ceniona godność człowiecza i obywatelska, gdzie wszelkie stosunki i bezpieczeństwo oparte są na ufności wzajemnej, tam paszport, jako dowód legitymacyjny na prawo przemieszkiwania w danej miejscowości odgrywa podrzędną rolę. Tam zaś, gdzie warunki kultury i bytu tak się ułożyły, że środkiem wzmacniającym i podtrzymującym wszelkiego rodzaju bezpieczeństwo i porządek musi być paszport— tam dokument tego rodzaju doniosłe ma znaczenie i powinien być jednym ze środków istnienia. W jakiem okropnem znaleźlibyśmy się położeniu wobec złoczyńców wszelakich, gdyby naraz zniesiono legitymacye z nieodłącznem pokazywaniem dokumentu!

Sposób ten *poznawania* ludzi musi być tedy zachowany i ściśle przestrzegany. Chodzi tylko o ułatwienie wymiany lub zdobycia tego dokumentu i tutaj właśnie cała troś reformy się mieści. Dotychczas organizacya paszportowa szwankuje w tej mierze. Wymowny przykład, niewyjątkowy, zamieściły w tych dniach gazety rosyjskie. Jest to skarga jednego z interesowanych: „Już drugi rok wójt dręczy mię, nie przysyłając paszportu pod pozorem, żem nie zapłacił podatku. Żąda większej lub mniejszej sumy, lecz nie wyjaśnia, za co. Mojej skargi, zaniesionej do wyższej władzy, nie rozpatrzono. Widocznie nie sprawdzono ksiąg, więc dano lakoniczną odpowiedź, że muszę zapłacić pewną sumę za siebie i brata, ale bez wyjaśnienia, do jakiej pozycyi suma ta należy.“

Dzieje się to samo i u nas także. Władze gminne po kilka miesięcy zwlekają z wymianą paszportów, robią utrudnienia pod rozmaitymi pozorami. Najgłówniejszym tu pretekstem jest zawsze podatek, którego kategoryi i rozmiarów nigdy sprawdzić nie można. Cierpi na tem oczywiście ludność mało oświecona lub zupełnie ciemna i niezaradna.

Wprowadzenie książeczek kilkoletnich w Cesarstwie można uważać tylko za początek reformy, bo jakkolwiek książeczki te ogromnie ułatwiają stosunki i są zmianą świetną, ale otrzymanie ich połączone jest z taką samą, jak dawniej zwłoką. Najkrótszym terminem otrzymania paszportu przez pocztę jest miesiąc. Znamy takie wypadki, że czekano na nie po dwa, trzy i więcej miesięcy i narażano się skutkiem tego na wielkie straty. Ktoś, nie doczekawszy się, pojechał osobiście po paszport do miejscowości odległej o kilkaset wiorst i stracił na to kilkadziesiąt rubli. Ktoś znowu, mając do załatwienia ważne sprawy w jednem z wielkich miast, gdzie są surowe przepisy meldunkowe, nie mógł pojechać skutkiem zwłoki paszportowej i naraził się na olbrzymie, niczem niepowetowane straty. Ktoś inny jeszcze z tego samego powodu tułał się jak złoczyńca w obcem mieście. Wreszcie ten i ów, nie doczekawszy się swego paszportu, musiał niejednokrotnie *pożyczać* tego dokumentu od znajomego, narażając tym sposobem i siebie i innych na wielką odpowiedzialność.

Tak sobie radzą ludzie ze sfer oświeconych. Gorzej bywa z masami ludności ciemnej. Niejednokrotnie traciła ona zajęcie korzystne w miastach, gdyż nie doczekawszy się paszportów, musiała pod rygorem wyjeżdżać do miejsca „przypisania.“ Zreformowanie więc organizacyi paszportowej będzie ułatwieniem zarobkowania mas ludności w kraju. Dotychczas mitręga i zwłoka w tej mierze jest poprostu klęską ekonomiczną, gdyż wielu pozbawia już zdobycia zarobków, innym zaś utrudnia ich poszukiwanie. Otóż wprowadzając u nas reformę, należałoby zwrócić uwagę na tę stronę stosunków. Przedewszystkiem trzeba koniecznie zwiększyć sprawność biurową, ułatwić i uprościć drogi przesyłania i odbioru paszportów, oraz wszelkich dopłat i należności podatkowych. Nadto trzeba przyjąć za zasadę, że zaległości podatkowe w żadnym razie nie powinny być powodem do wstrzymania paszportu. Wreszcie należy zwrócić uwagę na sposób wypełniania rubryk paszportowych. Dotychczas bowiem niejednokrotnie posiadacz oczu niebieskich ma

---

szego pojęcia, ty... ty, zły dzieciaku! Co oni... co zrobili ci złego?!... Powtarzasz jakieś brednie, jak głupia papuga!

Nigdy jeszcze nie słyszałem dotąd z ust jej tak ostrych i gniewnych wyrazów. Łzy zakręciły mi się w oczach i stałem cały w płomieniach, wpatrzony w twarz jej z sercem bijącem. Ona zaś jakby nie spostrzegając tego, szybko postąpiła do drzwi, ścisnąwszy skronie drżącemi rękami.

— Mamusiu! co to? Za co mamusiu?! — krzyknąłem, rzucając się ku niej.

Stanęła w progu i spojrzawszy na mnie, pochwyciła mię w ramiona i ucałowała gorąco. Uczułem, że łzy nasze mieszają się na naszych twarzach. Wyszeptała:

— Nigdy już, nigdy nie mów tak o „nich,“ dziecko moje drogie, bo mnie to boli...

Już wtenczas zrozumiałem, że odezwaniem się swojem boleśnie dotknąłem matkę, i od tej chwili unikałem instynktownie wszelkiej wzmianki o Żydach.

Błogosławiące jednak dłonie Abrahama, Izaaka i Jakóba rozpostarły się nad mą głową na wstępie do życia szkolnego— i „kwestya“ wynurzyła się znowu na chwilę. Na progu gimnazyum natura usiłowała zerwać ze mnie maskę i wykryć incognito moje wobec świata i mnie samego.

Po wstępnym egzaminie do trzeciej klasy, gdym wraz z innymi uczniami wychodził na korytarz, usłyszałem prawie głośno powiedziane słowa tuż za memi plecami.

— Sprytny żydek, bestya! Pysznie odpowiadał! Jeśli tak dalej pójdzie, zepchnie naszego primusa!

— Nic dziwnego — bogata jakaś sztuka. Sami profesorowie gimnazyalni go przygotowywali. I ja bym złożył tak samo, gdyby nade mną ślęczeli!

— Jak się nazywa? Pewnie jakiś Goldenberg czy Löwensohn, czy coś w tym rodzaju?

Ostre ukłócie przeszyło mi serce, tem bardziej ostre, im mniej zasłużoną wydawała mi się „obelga.“ Obróciłem się raptownie do rozmawiających:

— Mylicie się, „panowie!“—powiedziałom z naciskiem i chłodem dorosłego światowca, przy wyzwaniu na pojedynek — żadnym Żydem, ani „sohnem,“ ani „bergiem“ nie jestem: jestem chrześcianinem, tak samo, jak i wy wszyscy — i nazwisko moje co najmniej nie gorsze jest od waszego. Powierzchowne sądy prowadzą nieraz do absurdu! — dorzuciłem gniewnie i pogardliwie, odchodząc od mego Francuza guwernera.

Poinformowawszy się o domu mojej matki, koledzy dali mi pokój pod tym względem. Ale za to nazajutrz, w dzień rozpoczęcia roku szkolnego, czekała mię nowa niespodzianka.

Spóźniwszy się nieco na lekcyę, stanąłem zakłopotany przed wielkiemi drzwiami głównej sali, z poza których rozlegały się dźwięki śpiewanych modlitw uroczystego nabożeństwa, rozpoczynającego rok szkolny, kiedy jeden z dozorców klasowych, wychodząc z korytarza, zapytał mię surowo:

— Co tu robisz? Zdaje mi się, że jesteś jednym z nowych?

— Tak, panie.

— Czemuż nie idziesz na „wasze“ nabożeństwo na dole?

— Nie wiem, panie, czy mi już wolno wejść, kiedy się tak spóźniłem. Nie wiem nawet, gdzie „nasza“ klasa się modli.

— Wszystkie klasy razem na dole. Chodź, to cię zaprowadzę.

Nic już nie rozumiejąc po tej odpowiedzi, obejrzałem się tylko wyraziście na drzwi, po za któremi rozlegały się chóry uczniów i poszedłem za nim. Zstąpiliśmy po schodach na dół i w mrocznym, wysokim korytarzu stanęliśmy u progu jakiegoś pokoju. Przewodnik mój otworzył drzwi i zlekka mię popchnął do wnętrza, cofając się jednocześnie znowu na korytarz. Na odgłos naszych kroków odwróciło się kilkanaście twarzy ultra-typo-

w dokumencie piwne, co może narazić go na przykrości i nieporozumienia. Wogóle zaś w ten sposób jest podawany rysopis: twarz: czysta, lub: okrągła; nos umiarkowany, podbródek — zwyczajny, wzrost — średni. Był zaś wypadek, że w rubryce „znaków szczególnych“ zapisano: „panna“! W końcu pożądana byłaby zmiana wszelkich kar pasportowo - legitymacyjnych. Obecnie np. niestali mieszkańcy Warszawy opłacają t. zw. „karty pobytu.“ Dość jest jeden dzień przeoczyć, ażeby zapłacić karę w stosunku podwójnej wartości, tj. zamiast 50 kop. — rubla. Są tacy, którzy z tego powodu stale co kwartał płacą kary. Wogóle wszelkie kary za drobne niedokładności w sprawach pasportowych są dziś zbyt wysokie i uciążliwe.

Nie wiemy, czy reforma obejmie także pasporty zagraniczne. Byłoby i tutaj pożądane ułatwienie, tj. szybkie wydawanie dokumentu i zmniejszenie jego ceny. Dziś stosunki z zagranicą stały się nieodłącznym warunkiem duchowego i materyalnego rozwoju społeczeństwa. Należy więc możliwie największe udogodnienia poczynić.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Walka plemienna. — Protest przeciwko kolonizacyi niemieckiej. — Dążności „wielkopolskie“ na szpaltach pism niemieckich. — Zmiana polityki w prasie. — Co to jest *obywatel?* Zjazdy polskie a niemieckie. — Prześladowanie prasy i języka. — Podręcznik dla armii niemieckiej.

Sprawy narodowościowe, a raczej sprawa walki plemiennej, nie schodzi ze szpalt pism niemieckich, ani z myśli i ust różnych działaczów pruskich, którzy pod bardzo obszernym i już zbutwiałym płaszczem patryotycznym chowają węzełki swoich interesów osobistych. Do kwestyj, nad któremi oko niemieckie czuwa nieustannie, zaliczyć trzeba kolonizacyę. Dziś ona jest tem godniejszą uwagi, że daje powód niektórym publicystom niemieckim do wypowiadania poglądów na sposoby wynaradawiania. Poglądy te są tak znamienne, że niepodobna ich pominąć milczeniem. Z powodu pogłoski, iż rząd pruski zamierza rozszerzyć działalność komisyi kolonizacyjnej także w Prusach wschodnich, organ zachowawczy, *Elbinger Ztg.*, wypowiada projtest przeciwko temu zamiarowi i uważa go za krok fałszywy, niebezpieczny. Wrzekoma agitacya polska na Mazurach, według pisma tego, wkrótce zaniknie zupełnie. Odżyłaby zaś z całą siłą i energią tylko wtedy, gdyby rząd chciał rozwinąć germanizacyę. Bez końca powtarzano, że ewangielicka ludność Prus wschodnich, mówiąca po mazursku, jest wierna królowi i zupełnie duchem pruskim przejęta. Pragnie ona tylko swój język zachować, i to nawet nie ze względów patryotycznych, ale ot, dla wygody i z braku chęci do ogólnego wykształcenia. Mazury nie mają wstrętu do języka niemieckiego; uczą się go o tyle, o ile on im ułatwić może stosunki z Niemcami. Należy tylko Mazurów zostawić w spokoju, a będą zawsze dobrze usposobieni dla Prus i odsuną od siebie agitatorów wielkopolskich.

Takie poglądy wygłasza dziennik powyższy i w końcu dodaje: „Jeżeli dzielnych Prusaków wschodnich, mówiących po mazursku, chcemy gwałtem zrobić Polakami, albo socyalnymi demokratami, to należy tylko się chwycić na początku wskazanego środka. Za pięć lub sześć lat potem rząd może się przekonać o niewątpliwym ruchu wielkopolskim na Mazurach. Ale jeżeli chcemy cośkolwiek tam zrobić, trzeba do kolonizacyi użyć wyłącznie tylko Mazurów.“ Wogóle zdaniem organu cytowanego, powinna to być kolonizacya państwowa, nie jako środek przeciwko Mazurom, lecz jako pomoc dla nich. Że Mazury mówią po polsku, to bagatela.

Taki pogląd wywołał charakterystyczne uwagi na szpaltach *Koln. Volksztg*: „Z paplaniny pism niemieckich o „ruchu wielkopolskim“ nigdzie się tak nie śmieją, jak w trzeźwych kołach polskich. Nie zaprzeczają tam istnienia marzycieli, karmiących się fantazyami na temat odbudowania Polski z dawną świetnością, od morza Bałtyckiego do Czarnego. Żaden atoli Polak poważny nie wierzy w możliwość tego w czasie określonym. Przywrócenie Polski wymaga porażki Rosyi, Niemiec i Austryi jednocześnie. Czyż taka myśl nie jest szaleństwem? Dążenia „wielkopolskie“ istnieją tedy tylko na szpaltach pism hakatystycznych. Rdzeniem wojny wewnętrznej w Poznańskiem, Prusach zachodnich i na Górnym Szlązku jest — germanizacya. Jeżeli Polacy z tego powodu są rozgoryczeni i posuną się tu i owdzie zbyt daleko, należy im to wybaczyć, bo przecież, wedle świadectwa *Elb. Ztg.*, owi niesłychanie „wierni królowi“ Mazurzy także bronią się mocno a nawet zostaliby socyalnymi demokratami, gdyby zaczęto ich germanizować. „Trzeba do kolonizacyi wziąć samych Mazurów.“ Gdyby w Poznańskiem również brano Polaków jako osadników, nie oponowanoby przeciwko ustawie kolonizacyjnej. Ale co jest dobre dla Mazurów, to niewłaściwe dla Polaków.“ Pierwsi są protestantami, drudzy katolikami — oto różnica! Dlatego się niemczy Poznańskie, że, jak powiedział bar. Schorlemer z Alstu, germanizacya jest protestantyzacyą. Jawnie tego się nie mówi, więc — jak twierdzi *Elb. Ztg.*, hakatyści wymyślili bajeczkę o „dążnościach wielkopolskich,“ bez żadnych konkretnych danych, bez których przecież „nie można występować przeciwko całej ludności polskiej.“

Zaznaczyliśmy te uwagi, bo są one wielce znamienne. Słyszymy coraz gęściej głosy „bezstronne“ i „sprawiedliwe“ ze szpalt pism niemieckich i naiwnie się cieszymy, że przecież śród wrogów naszych są ludzie „wpływowi,“ którzy w imię sprawiedliwości za nas się ujmują i zapewne zczasem zmienią politykę. Istotnie w gruncie rzeczy o to im właśnie chodzi. Rozumni i przebiegli Niemcy, którzy poznali siłę żywotną narodowości polskiej, pojmują jasno, że wszelki ucisk i szykany rozbudzą tylko w nas do wysokiego stopnia świadomość narodową, spotęgują odporność, podniosą ducha do obrony. Wiedzą o tem dobrze ze znajomości narodu w pewnej mierze i z faktów. Chcą więc zapomocą głaskania zrobić to, czego nie potrafią dokonać pięścią i maczugą zbójecką. Chcą z całego narodu uczynić to, co uczynili z tych mizernych, płaszczących się karyerowiczów, którzy, usiłując sobie wyrobić wygodne placówki, podszywają się pod płaszcz ogólnego dobra kraju i ten kraj wraz z narodem chcą zaprzedać w niewolę germańską za pomocą parlamentarnych środków jednania. Dostają oni czasem cięgi

---

wych i żydowskich... W środku stał mężczyzna w długim, czarnym surducie i czytał z księgi głosem monotonnym.

Tym razem byłem już strasznie rozgniewany. Gwałtownie się cofnąłem w ślady dozorcy i zawołałem głośno tonem najwyższej obrazy i wyrzutu, ze łzami w oczach:

— Panie! jestem przecież chrześcianinem, a pan mię wprowadziłeś na żydowską modlitwę!

I wymieniłem znowu swe imponujące nazwisko.

— Czy tak?! Ach, to przepraszam, przepraszam pana!.. Mam krótki wzrok... i zmylił mnie trochę typ... południowy. Teraz, przypatrzywszy się zblizka... widzę, że wyglądasz pan raczej na Gruzina— tłomaczył się dozorca klasowy tonem na pozór żartobliwym i swobodnym, w istocie jednak nieco zmieszanym.

Wtenczas, gdy matka moja, przejęta ważnością tej epoki życia mego, usiłowała zaznaczyć ją tysiącem względów i łask macierzyńskich — nie mogłem odczuć tego wcale; nie mogłem nacieszyć się pierwszem swem powodzeniem szkolnem. Podwójne podejrzenie o żydostwo, ironia i żarty zaćmiły mi pierwsze wrażenia. Nie opowiadałem o przejściach tych drobnych na pozór, mojej matce, wiedząc, iż uzna „obrazę“ taką i smutek za karygodne — i że czemuś ogromnie, ogromnie zmartwi się jednocześnie, wbrew niby swym zasadom.

Zostawszy sam w pokoju po powrocie z gimnazyum, zbliżyłem się do lustra i zacząłem przypatrywać się sobie z uwagą i przestrachem.

Tak... twarz moja, już jak gdyby niedziecinna, podłużna i blada, oczy czarne, błyszczące, głęboko i ogromnie ocienione — były tak niepodobne do tych widzianych dokoła; szczególnie te dziwne, gorące oczy — tak bardzo nieeuropejskie. Nos długi, cienki, z niewielkiem wprawdzie, ale charakterystycznem wygięciem, te usta wązkie, zaciśnięte w tej chwili z pewnym wyrazem goryczy — jakież typowe!.. i jakżeż często spotykane wśród „nich,“ niestety!.. Mój Boże, skąd to się wzięło?— pytałem siebie w smutnem zdumieniu, cofając się od lustra zgnębiony własnym widokiem.

Skąd wtenczas już w młodzieńczej duszy mojej wzrał taki zasób wstrętu i pogardy dla plemienia izraelskiego? Co mogło wpłynąć na mnie? Co było tego przyczyną? Po części może wielka odrębność warunków wychowania, tak bardzo dalekiego od wszelkich nędz i kłopotów ubogich „braci“ moich, a od dążeń i ideałów bogatszych pomiędzy nimi. Po części to wszystko, co mogłem ujrzeć i usłyszeć przelotnie i powierzchownie, jak dzieciak bezkrytyczny. Po części to przeświadczenie, że się należy do rasy stokroć szlachetniejszej, którem przepojona była wokoło mnie cała atmosfera.

Widując ich w skupionej ciemnej masie na Południu, gdzieśmy jeździli do kąpieli morskich, zwracałem przedewszystkiem uwagę na ich bijące w oczy brudy, na szwargot niemiły, komicznie wstrętną odzież. Pod brudnymi chałatami nie spostrzegłem nigdy nędzy — i dlatego jeszcze potworniejszym zdawał mi się ich wyzysk i oszustwa, o których ciągle słyszałem. Niezaprzeczona zaś arogancya, brak smaku, śmieszności warstwy zamożniejszej potęgowały wstręt ten ogromnie... Niestety, pozostał we mnie aż dotąd, pomimo kolosalnej pracy nad sobą, pomimo otwartych na wszystko już oczu— pomimo wielkiej walki i wielkiej rozpaczy mojej... Robota dwudziestu czterech lat życia!.. Fanatyzm mój wrodzony może, plemienny, jak rzeka, której łoże skierowano sztucznie w inną stronę, wymierzył ostrze swe do własnej mojej piersi i do moich współbraci... Renegat nieświadomy...

(C. d. n.).

moralne od tych, których usiłują sprzedać.

Przed kilku tygodniami podczas zebrań wyborczych, jak wiadomo, ci panowie starali się przemawiać do narodu i w imię jego dobra, pomimo że nie mieli najmniejszego prawa do tego. Tak np. p. hr. Mycielski z Kobylego Pola, którego wzięto pod kuratelę majątkową za to, że trwonił mienie na pijaństwo i karty, miał odwagę przemawiać na zebraniu wyborców wiejskich, gdzie z cyniczną swadą twierdził, że *obywatel* dla tego tę nazwę nosi, że powinien *obywać się* małem, więc tedy i ogół wyborców ma się obywać, tj. poprzestawać na tem, co im się z góry wyznaczy. Takie bezczelne wystąpienie wywołało wrzawę, pewien zaś włościanin tak panu hrabiemu odpowiedział: „My mamy we wszystkiem się obywać, a wy całe majątki możecie przepijać i tracić.“ Jakiś zaś piekarz rzekł do szlachty: „Wy, panowie, posłami być nie możecie, bo sprzedajecie ziemię w obce ręce, a kandydat nasz, p. Andrzejewski, ją skupuje.“ D rowi Wendlandowi ze Swarzędza na zebraniu zupełnie głos odebrano za to, że ludowi chce nałożyć obrożę i poprowadzić go na usługi partyi „dworskiej.“ Nie zraziło to jednak działaczów tego rodzaju. Pracują oni dalej i mają tyle cierpliwości, że czując szeroką stopę germańską na swoim karku, liżą kamień, chcąc własnym językiem i śliną wylizać stopnie, po których można byłoby pójść wysoko na placówki karyery osobistej: Są między nimi nawet tacy, co wobec Niemców utrzymują, że słusznie nie pozwolono na zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, a natomiast sprzyjają zapowiedzianemu w temże mieście na 11—14 września r. b. zjazdowi pracowników niemieckich. O ile władze wykazały całe swoje okrucieństwo i barbarzyństwo w rozpędzaniu polskiego wiecu naukowego, o tyle gorliwie już dziś popierają przygotowania prawników niemieckich. Jak wiadomo, rada m. Poznania nigdy na zjazdy polskie nie przeznaczała żadnych zapomóg. Obecnie zaś na wiecu prawników niemieckich uchwaliła zasiłek w sumie pięciu tysięcy marek. Wniosek w tej sprawie podał dr. Lewiński i zwyciężył, pomimo, że temu dość stanowczo sprzeciwiał się dr. Krysiewicz. Jakby na urągowisko dla nas, po niepraktykowanym w dziejach cywilizacyi gwałcie, śpiewacy niemieccy 9 i 10 lipca odbyli w Poznaniu zjazd, w którym brali udział także przybysze z poza granic państwa. Zadaniem uczestników były możliwie najgłośniejsze manifestacye, które mówiły: „My tu jesteśmy panami! Nam wszystko wolno!“ Zrobiono tedy liczne pochody z muzyką lub bez muzyki, na które władze niemieckie patrzyły życzliwie i przyjaźnie. Inaczej to same władze się zachowują podczas uroczystości naszych. Niech dwie lub trzy osoby idą w jednej linii ulicą zupełnie spokojnie, a niech tylko policya niemiecka wie, że to są członkowie jakiegoś zjazdu polskiego — natychmiast zacznie ich szykanować. Doznali tej nieprzyjemności nasi gimnastycy, gdy przybyli z Berlina do Poznania. Za to, że szli z dworca kolei do kościoła w zupełnym spokoju i porządku po trzech, dręczono ich przez całą drogę a nadto usiłowano z Poznania wydalić. Przykładów takich moglibyśmy wyliczyć mnóstwo. Wogóle ile tylko razy komitety naszych najniewinniejszych zjazdów chciały zorganizować najskromniejszą uroczystość uliczną, np. pochód, policya nie pozwalała pod pozorem, że to tamuje ruch uliczny. Nie tamuje tylko wtedy, gdy pochód bardzo gromadny złożony jest z Niemców.

Zjazd przyrodników i lekarzy polskich stanowczo już w tym roku nigdzie się nie odbędzie. Byli jednak tacy naiwni, którzy do ostatniej chwili łudzili się nadzieją, że ze względu na wstyd przed całym światem cywilizowanym, minister uwzględni memoryał sławny i cofnie rozporządzenie władz miejscowych. Stało się wszakże według naszych przewidywań. P. minister nietylko nie uwzględnił motywów naszych, lecz pochwalił zakaz. Szkoda, że twórcy memoryału nie stłumili swych zabiegów w zarodku, ze względu na godność naszego społeczeństwa. Ten ostatni smutny przykład chyba wyleczy nas ze skłonności do żebraniny u tych, co w odpowiedzi na modły i prośby pokorne uderzają maczugą po głowach.

Maczuga ta coraz częściej także spada na głowy redaktorów i wydawców pism polskich. Procesy prasowe tem są charakterystyczniejsze, że gwałcą najzupełniej zasadę wolności prasy. Motywy zaś tych procesów i wyroków są świadectwem niesłychanego gwałtu. Już wspominaliśmy w jednej z kronik poprzednich, że p. Koraczewskiego, redaktora i wydawcę *Gazety Opolskiej*, skazano na sześć miesięcy więzienia i koszty sądowe. Otóż kara tak surowa spadła na niego za powiastkę kalendarzową, w której była mowa o ciężkiej służbie dziewczyny polskiej w domu niemieckim. Dziewczyna — to lud polski na Szlązku, a dom niemiecki— to rząd prześladowczy. Takiej dopatrzono się alegoryi w rzeczy niealegorycznej i ofiarnego kozła przywidzeń surowo ukarano. P. Rakowskiego, redaktora *Pracy*, skazano na 3 miesiące więzienia za wiersz p. t. „Osa, nietoperz i szwab.“ Nie koniec na tem: wytoczono proces jego zastępcy za wiersz p. t. „Do braci Słowian“ i skazano go na cztery miesiące więzienia, pomimo iż prokurator żądał tylko jednego miesiąca. W bajce o „Szwabie, świni, osie i nietoperzu“ dopatrzono się obrazy Niemców, podburzanie do gwałtów itd. P. Rakowski założył od wyroku poprzedniego apelacyę, którą sąd rzeszy w Lipsku uwzględnił i przekazał sprawę do ponownego osądzenia w Poznaniu. Z powodu drobnej formalności sprawę odroczono, prokurator zaś kazał natychmiast aresztować oskarżonego aż do przyszłego terminu. Dopuściwszy się tej szykany, po dwóch godzinach aresztu sąd uwzględnił zażalenie oskarżonego i wypuścił go na wolność, dlatego tylko, że jego ojciec (zastępca) odsiaduje obecnie karę czteromiesięczną.

W parze z uciskiem prasy idzie prześladowanie języka polskiego na każdym kroku. Pod tym względem hakatyści pracują niezmordowanie i nawołują do zagłady naszej mowy nawet jawnie na szpaltach pism swoich. Mowa ta jednak jest zanadto żywotna, więc pomimo największych prześladowań, pomimo zakazów i w wojsku, i szkole rozrasta się ona coraz bardziej i jakby na urągowisko prześladowcom, publicznie swą siłę ujawnia. W nienawistnych nam pismach niemieckich coraz częściej czytamy ogłoszenia, przez które się poszukuje różnych ludzi, mówiących po polsku. Ogłoszenia te pochodzą od przedsiębiorców niemieckich, którzy w interesie materyalnym zapominają o polityce.

Czasem jednak i w celach politycznych bywa uwzględniany język polski. Oto np. w armii zalecono uczenie się po polsku i po rosyjsku i wydano w tym celu słowniczek p. t. „Deutsch-polnisch-russisches Soldaten Wörterbuch,“ kapitana F. M. v. Donata ze 140 pułku piechoty. Są tam wielce charakterystyczne rozmówki, ułatwiające porozumiewanie się. Oto wyjątki: Po polsku: „Powietj prawde, bo sastschelimt ssie!“ (ma to być zapewne *cię*!); po rosyjsku: „Skashi prawdu ili sastreiju.“ „Pokashi mi najblisho droge do...“; po ros.: „Pokashi mnje blischaschuju darogu w...“ Dalej takie wykrzykniki: Pod-dai sebie! Skuadajtsehje bronil Sdajsa. Palashitje arushje! Jakkolwiek ani Rosyanie, ani Polacy nie zrozumieliby Niemca, przemawiającego do nich językiem wyuczonym z tego podręcznika, przebija w nim jednak wielka arogancya i pewność siebie; wykrzykniki zaś i treść rozmówek świadczą o dążeniach zaborczych. Żołnierz niemiecki już nawet w teoryi woła: Poddaj się! Złóż broń!.. To też nie przewidziano tam, jak on powinien zaśpiewać, gdy się fortuna odwróci i na niego w ten sam sposób zawołają...

et.

Z NIEMIEC.

Berlin, 10 sierpnia.

Nienaturalne związki.—Procesy rozkładowe w stronnictwach polityczno-religijnych. — Upadek protestantyzmu.

Ostatnie wybory wskutek obojętności, z jaką społeczeństwo skorzystało ze swych praw konstytucyjnych, nie nadają się do rozległych rozmyślań na temat owej *camera obscura*, którą zwiemy „duszą narodu,“ a jednak uwydatniły one jedną z tych dążności społecznych, które w czasach powszednich, spokojnych, wymykają się oku najbardziej badawczego spostrzegacza. Mam na myśli podrzędną rolę, jaką odegrały hasła wyznaniowe. Po raz pierwszy od czasu narodzin państwa niemieckiego popierali się wzajemnie dwaj nieprzejednani przeciwnicy — centrum i narodowi liberałowie. Po raz pierwszy protestanccy ministrowie Prus polecili urzędnikom katolików jako partyę prawomyślną. Po raz pierwszy przymknąwszy oczy, tonęli w uściskach braterskich antisemici i Żydzi, oddając głosy za wspólnym kandydatem. Nadaremnie hr. Hoensbroech, były wychowaniec i renegat, gromił ultramontanizm, a Stöcker rozdzierał szaty nad ślepotą narodu, który nie potrafi dojrzeć w Żydach przyczyny wszelkich klęsk. Czas zrobił swoje: religia straciła siłę magnetyczną w zetknięciu z realnemi potrzebami społeczeństwa. Względy wyznaniowe ustąpiły interesom ekonomicznym. Bądź co bądź, katolicyzm wykazał większą żywotność, niż luteranizm; wyznawcom swoim imponuje on więcej, niż jego współzawodnik i niedawny prześladowca.

Przyjrzyjmy się przy tej sposobności roli, którą odgrywa religia w Niemczech jako czynnik społeczny. Tryumfy ultramontanizmu datują się od r. 1872, kiedy Bismarck wypowiedział wojnę stanowczą katolikom. Prześladowana organizacya kościelna zwróciła się w prowincyach reńskich i Westfalii, dwu największych ogniskach przemysłu pruskiego, do robotników, gdyż przedsiębiorcy bądź wyznawali luteranizm, bądź hołdowali poglądom wolnomyślnym. Chrześciański socyalizm biskupa Kettelera rozpowszechnił się tutaj dość szybko i zapuścił w sercach najmitów tak głębokie korzenie, iż do dziś nie są w stanie wyprzeć go stamtąd nowoczesne teorye społeczne. Centrum utworzyło setki stowarzyszeń robotniczych i powołało do życia odpowiednią prasę, literaturę, oraz organizacyę, jaką nie może się pochwalić żadne stronnictwo polityczne na świecie. Dzięki temu katolicyzm niemiecki oszańcował się od wszelkich wpływów, mogących poderwać jego panowanie. Istnieje olbrzymi związek dziennikarzy niemieckich. Powstało osobne stowarzyszenie dla filozofii katolickiej, rozporządzające własnym organem (*Jahrbuch der Gorres-Gesellschaft*). Katolicy zakończyli niedawno wydawnictwo własnej encyklopedyi dla nauk społecznych, aby uchronić młodzież od picia ze

źródeł, niepoświęconych przez władzę duchowną. Nawet studenci katoliccy zorganizowali się w specyalnych związkach akademickich. Ksiądz Hitze redaguje pismo, poświęcone kwestyi robotniczej ze stanowiska encykliki papieskiej. Dzięki temu, jako też dzięki nietolerancyi Prusaków oraz zacofaniu okręgów górniczych i wiejskich, skąd rekrutują się rzesze wyborcze centrum, partya ta stawia po dzień dzisiejszy zwycięzko czoło falom powodzi społecznej. Na wschodnich kresach Prus, na Szlązku i w Poznańskiem kler katolicki objął rolę orędownika uczuć narodowych; jako społeczeństwo w społeczeństwie i *ecclesiae militantis* łatwo mu było narzucić tu swą opiekę uciskanej narodowości, podobnie jak w zachodnich prowincyach otoczył swą pieczołowitością klasy ubogie.

W ostatnich wszakże czasach powodzenie tego stronnictwa zaczęło szwankować. Przed samymi wyborami trzydzieści kilka okręgów bawarskich chciało odłączyć się od macierzy ultramontańskiej; za mało uwzględniającej zasady demokratyczne w swej polityce. Tylko nawoływaniom i zaklęciom prasy partyjnej udało się zażegnać rozłam, który mógłby spowodować runięcie „wieży ultramontańskiej.“ W Hanowerze ultramontanizm rolny wyczekuje chwili odpowiedniej, aby ogłosić swą niezależność od stronnictwa, które za bardzo popiera dążenia przemysłu. Robotnicy ciągną wóz centrum w stronę przeciwną. Niedawno zarząd partyjny był zmuszony uznać słuszność jednego z bezroboci i nawet interpelował rząd w tej sprawie. Widzimy więc, jak tu w łonie ludności katolickiej, chwilowo spojonej cementem ultramontańskim, dojrzewają i rosną rozbieżne i wrogie sobie idee, pod których parciem musi prysnąć sztuczne zjednoczenie.

Znacznie gorzej stoi sprawa z kościołem ewangelickim, gdyż ten zupełnie postradał mir i popularność w szeregach ludności. Urzędowo stwierdzono, iż miasta protestanckie są siedliskiem ateizmu. W 1880 r. 26% dzieci, urodzonych w Berlinie z rodziców ewangelickich, nie otrzymało chrztu, a 60% ślubów i 80% pogrzebów odbyło się bez udziału duchowieństwa. Zaledwie dziesiąta część członków parafialnych uczestniczyła w wyborach kościelnych. W r. 1893 rząd przedsięwziął szereg środków prawnych, aby położyć tamę szerzącej się bezbożności. Tem pogorszył w rzeczywistości sprawę, albowiem tylko obrządki, nadające pewne przywileje prawne, są obserwowane, podczas gdy kościoły np. świecą pustkami. Na wsi dzieje się nie lepiej; chłopa zraża patronat dziedzica, przysługujący mu z prawa i stawiający pastora w służalczej zależności od pana. Już oddawna przeczuwano, iż kościół luterański za mało przemawia do serca mas, jako oparty na zasadzie trzeźwego rozsądku i krytyki. Głośny filozof Schleiermacher, osobistość wysoce sympatyczna, odwoływał się do serc i żądał, aby kościół protestancki otworzył naoścież wrota uczuciu ludzkiemu, gdyż przed obliczem krytyki i rozsądku nie ostanie się żaden kodeks wyznaniowy. Słowa jego sprawdziły się. Strauss i Bruno Bauer poddali Stary Testament rozbiorowi i dowiedli, jak mało czyni zadość metodologii historyograficznej. Krytyka, raz uwolniona z cugli tradycyi, nie da się powstrzymać, jak lawina staczająca się z gór. Powstała w uniwersytetach rozległa egzegeza biblijna, która nie pozostawiła kamienia na kamieniu w gmachu religijnym wyznania luterańskiego i otoczyła Biblię niebotycznymi stosami komentarzy. Ritschl i Harnack, teologowie najnowszej daty, doprowadzili zasadę tę do ostateczności. W ten sposób dzięki nieskrępowanej żadną powagą swobodzie tłomaczenia powstała wierutna wieża Babel pojmowań religijnych, pod których ciężarem runęła wiara serca. Właściwie istnieją dziś już kościoły protestanckie, a nie jednolity kościół. Z 17 uniwersytetów niemieckich tylko 4 (Rosztok, Gryfia, Erlangen i Lipsk) stoją na straży dogmatów Lutrowskich, reszta, rzuciwszy się w wir krytyki, dawno się ich wyrzekła. Warunki te wykopały przepaść pomiędzy konsystorzami jako istytucyami kościoła urzędowego a uczonemi siedliskami brudzącej i minującej krytyki. Od czasu do czasu konsystorze przysyłają profesora, mającego czuwać nad prawowiernością fakultetu teologicznego lub udzielają przestrogi kacerzowi, który się zbytnio zapędził. Zatarg obostrza się, gdy teologowie, obejmując parafie, poddają się kontroli konsystorzów. Pastor musi wygłaszać kazania, będące w rozdźwięku z jego własnemi przekonaniami, a nawet z poglądami członków gminy, o ile może być o nich mowa, gdyż jeden woła do lasa, a drugi do sasa. W r. 1884 trzech pastorów, wysoce inteligentnych, Schrempf, Lisco i Strubel złożyli ostentacyjnie urzędy swoje, nie będąc w stanie dłużej lawirować pomiędzy obowiązkiem sumienia a służby. Światlejsi oddawna przewidzieli, iż protestantyzm musi zyskać punkt oparcia w czynach chrześciańskiej miłości bliźniego. Pastor Wichern założył już przed 50 laty w tym celu „Misyę wewnętrzną.“ Od tego czasu powstały z łona tej instytucyi setki oberży dla wędrownych terminatorów, 2,000 przytułków dla bezdomnych, wzorowy szpital dla ubogich chorych na nerwy, 28 kolonij rolnych itd. Idąc w ślady Wicherna, pastor Todt w r. 1878 pierwszy zwrócił uwagę na kwestyę społeczną. Pod jego sztandarem zebrała się gromada ludzi, przejętych dobremi chęciami, jak zacny Rud. Meyer, prześladowany przez klikę Stummowską, Ad. Wagner i wreszcie Stöcker. Wszyscy oni postawili sobie za cel pogodzenie luterańskiego chrześcianizmu z wymaganiami stanu czwartego. Zwołując biednych i uciskanych pod skrzydła Chrystusa i Lutra, chcieli ci mężowie podciąć w korzeniu ateizm ogarniający masy. Nie wiadomo, jak dalece powodzenie uwieńczyłoby te usiłowania, gdyby sprawę wzięli w swe ręce ludzie godni zaufania, wierzący w doniosłość swego zadania, a nie łotrzy z pod ciemnej gwiazdy, w rodzaju Stöckera. Gdy rząd wprowadził prawa wyjątkowe, Stöcker zwinął chorągiewkę i utworzył „chrześciańsko-społeczną“ partyę z zabarwieniem antisemickiem. Wziąwszy na cel Żydów i chcąc w ten sposób zamydlić oczy legionom malkontentów, zadał cios własnej sprawie. Od tego czasu stał się pośmiewiskiem społeczeństwa niemieckiego i synonimem szalbierza politycznego. Sztandar zbrukany przez niego wyrwali mu z rąk młodzi pastorzy z Naumanem i Göhrem na czele. Ten ostatni trzy miesiące pracował w fabryce, przebrawszy się za robotnika, aby na własne oczy przyjrzeć się życiu ludu pracującego. Tym apostołom społecznego luterańststwa podcięły skrzydła rozmaite reskrypty wyższej rady kościelnej, zabraniające pastorom raz na zawsze wtrącać się do życia społecznego. Dla kościoła ewangielickiego powstała rozpaczliwa sytuacya. Widzi on, że coraz głębiej pogrąża się w przepaści nicestwa, a nie może ratować się, spętany przez rozkazy sfer urzędowych. Zastępy młodych działaczy chciały wlać w starzejący się organizm świeżą krew, lecz dostojnicy kościelni postawili swe veto. Trzeba nie zapominać, że dwie trzecie robotników niemieckich należy do wyznania ewangelickiego. Chcąc przekonać się, jak wielkie spustoszenia sprawiła niewiara wśród mas, pastor Rade urządził ankietę wśród robotników, prosząc ich o odpowiedzi na rozmaite kwestye religijne: stosunek kościoła do duchowieństwa, znaczenie kazania, pogrzebu, konfirmacyi, ślubu i małżeństwa. Odpowiedzi wypadły nader smutnie dla duchowieństwa protestanckiego. Zarzucano mu, iż nadużywa swego stanowiska dla własnych celów, wygłaszając kazania, nie dopuszcza dyskusyi, jak to np. praktykuje się na zebraniach publicznych. Pastor jest urzędnikiem zapiętym na wszystkie guziki i zaopatrzonym w warkocz mandaryna. Ślub cywilny nie zyskał sobie powszechnej sympatyi jako ogołocony z ceremonij i uroczystych obrzędów. Luter nie zaskarbił sobie serc maluczkich, gdyż nie zawsze składał należyty hołd prawdzie i służył dwu bogom. Jedna tylko postać ostała się wobec krytyki serc zbiedzonych rozpaczą: Chrystus. Jeden z zapytanych pisze, parafrazując myśl Dostojewskiego („Bracia Karamazowy“): Gdyby Chrystus dziś zmartwychwstał, kościół i duchowni ogłosiliby go za buntownika. Inny znowu twierdzi: Baron Stumm dałby darmo ze swego warsztatu gwoździe do krzyża. Ciekawe są poglądy na małżeństwo. Większość zagadniętych obstaje za nierozerwalnością związków małżeńskich; separacya bowiem i rozwód wychodzą na krzywdę dzieciom. W odpowiedziach znajdują się hymny na cześć pożycia małżeńskiego, które jednak robotnikowi zatruwa nędza. Kilku również ubolewa nad tem, iż robotnik, dążący do samokształcenia i samoudoskonalenia, nie może znaleźć pożądanej towarzyszki życia, gdyż proletaryuszki znajdują się w większości wypadków na niskim stopniu rozwoju umysłowego.

Trzej teologowie: Oeser, Bonus i Hilty, Szwajcar z pochodzenia, a z zawodu właściwie prawnik, którego dzieło, „Szczęście,“ zyskało sobie wszechświatowy rozgłos. W pracach tych trzech mężów odbija się cały tragizm wyznania, które widzi, iż stary świat zapada się, a na jego gruzach wznosi się nowy, mający zupełnie nowe żądania i nietroszczący się o kategorye, które jeszcze Kantowi wydawały się odwiecznemi, nieodłącznemi od umysłu ludzkiego. Drogi, których trzej wspomniani teologowie szukają, są odmienne. Oeser dąży do indywidualizmu. Podobnie jak poeta włoski d'Annunzio w swej mowie wyborczej kazał umierającym z głodu chłopom zwrócić się ku krainie piękna, nie troszcząc się o sprawę bytu jako o bagatelę, tak Oeser unosi czytelnika w sferę wieczności i radzi zapomnieć o byciu ziemskim. Prąd ascetyzmu wieje z jego prac, przesiąkniętych poczyą absolutu i nadziemskiego spokoju. Bonus i Hilty zamiast kontemplacyi kładą nacisk na czyny, przyczem pierwszy propaguje etykę społeczną, dążenie do sprawiedliwości w życiu gromadzkiem, która stanowi dziś najgorętsze życzenie milionów serc spragnionych szczęścia.

H. F.



PAMIĘTNIK.

Fundusz bez przeznaczenia.

Twórcy ustawy Towarzystwa kredytowego ziemskiego byli to niewątpliwie ludzie rozumni i przezorni, ale podzielali zapewne zdanie Bismarcka, że „trzeba coś pozostawić do roboty dzieciom.“ Tymczasem potomkowie ojców Towarzystwa sądzą, że ich przodkowie wykonali wszystko i rozwiązali zadania najodleglejszych opiekunów tej in-

stytucyi, pozostawiwszy im głównie obowiązek strzeżenia jej. Owa wiara w mądrość zasłużonych poprzedników, owa troskliwość o przechowywanie ich dzieła jest objawem bardzo chwalebnym, ale ona nie może nigdy wyczerpać całości obowiązków, które czas ciągle wytwarza i kolejno na pokolenia wkłada. Jednym z wypadków nieprzewidzianych przez pierwszych organizatorów Towarzystwa, a stanowiącym bardzo ważne zadanie późniejszych jego kierowników, jest sprawa oszczędności, które gromadzą się w ogromny fundusz zapasowy. Pomimo że to trwa od lat wielu, pomimo że Towarzystwo musiało już oddawać te próżnujące kapitały, nie ma ono dotąd w swej ustawie odpowiedniej reguły, wskazującej mu, jak powinno je zużytkować. Skutkiem tego co kilka lat powstaje kwestya: co począć z zaoszczędzonym funduszem, przyczem naturalnie łakomi na uskubnięcie z tłustego połcia podają rozmaite projekty, dogadzające ich interesom. Tak się dzieje obecnie. Ponieważ owe kapitały zbierają się z kar za niezapłacone raty, zatem należą do stowarzyszonych. W jakim stosunku i według jakich zasad — tego my naturalnie w tej pobieżnej notatce rozstrzygać nie możemy, gdyż sprawa wymaga wielostronnego rozważenia. To tylko wydaje nam się niewątpliwem, że: 1) Towarzystwo powinno wprowadzić do swego statutu przepis, pozwalający mu stale i prawidłowo zużytkowywać fundusz zapasowy i 2) jako instytucya rolnicza powinno go użyć dla podniesienia rolnictwa.

Spółka rybacka.

Po raz drugi — oby z lepszem szczęściem— powstaje u nas spółka hodowców ryb, pragnących usunąć pośredników i wejść w bezpośrednie stosunki ze spożywcami, co obu dotąd wyzyskiwanym stronom zapewni znaczne korzyści. Że w zasadzie spółka taka ma u nas szeroką podstawę i może rozwinąć się pomyślnie— to jest faktem. Dużo bowiem ryb sprowadzamy ciągle nawet z zagranicy, a przytem są w naszym kraju ogromne przestrzenie lichych, nieurodzajnych nizin, które nadają się tylko do zalania ich wodą. Nadto w różnych punktach powstały umiejętnie i porządnie prowadzone gospodarstwa rybne, których rozwojowi przeszkodzają tylko nieutorowane drogi handlu. Żadna gałąź przemysłu nie może rozrosnąć się w warunkach sprzedaży cząstkowej, przekupnej, kramarskiej, krętej, przechodzącej przez długi szereg pośredników, którzy wyzyskując towar, dostarczają go konsumentowi po cenach wysokich, a biorą go od wytwórcy po niskich. Pojedyncze usiłowania nie przebiją tego muru, ale zrzeszone, przedstawiające wielką siłę materyalną, mogą go zburzyć.

Co to będzie?

Wielokrotnie wraz z innemi pismami zwracaliśmy uwagę i zaznaczaliśmy wybitniejsze fakty rozbojów i grabieży, zwłaszcza na krańcach Warszawy i w okolicach podmiejskich, gdzie bezpieczeństwo życia i mienia zmniejszyło się w sposób groźny. Ostatnie dni przyniosły znowu kilka wypadków, świadczących, że zdziczenie moralne, występna zuchwałość, poczucie bezkarności, rozkiełznanie złych instynktów przybrało postać, urągającą wszelkiemu porządkowi społecznemu. Na przejeżdżających cyklistów napada niedaleko rogatek szajka młodych złoczyńców, która jednego z nich (Sawickiego) poprostu zarzyna. Wkrótce potem do dorożki, w której znajdował się tutejszy przemysłowiec z żoną, wsiada zbój, rozpoczyna kłótnię, a gdy został wyrzucony, przybiega mu na pomoc banda wspólników, którym napadnięty zaledwie zdołał się obronić. Są to wypadki zbyt częste i zbyt zatrważające, ażeby nic wskazywały potrzeby przedsięwzięcia jakichś środków zasadniczych.

O gęsi.

Wspominaliśmy o zatargu celnym pomiędzy rządem niemieckim a rosyjskim. Jak się dziś okazuje, głównym jego powodem były gęsi, których Niemcy nie pozwalały przepędzać przez granicę pod pozorem jakiejś choroby. Mniemana choroba, czy też zaraza, jest od lat wielu sztuczką niemiecką, regulującą handel rozmaitemi zwierzętami z sąsiednim wschodem. Gdy w interesie rolników miejscowych trzeba powstrzymać dowóz do Prus bydła, owiec, nierogacizny, ptactwa domowego i tym sposobem podnieść w kraju ich ceny, zmyśla się natychmiast zarazę i zamyka granicę. Jest to jeden z najbezwstydniejszych szwindlów niemieckiej polityki celnej, który nietylko dokucza producentom oraz pośrednikom w Cesarstwie i Królestwie, ale rujnuje uboższe klasy spożywców niemieckich. Zmusza ich bowiem ciągle do nabywania drogo tego, co mogłyby mieć tanio, bo tak chce „geschäft“ ziemian, będących obecnie faworytami rządu. W ostatnich czasach zaczęto szykanować gęsi. Ale widocznie przebrała się miarę krętaniny: rząd rosyjski naprzód zagroził odwetem, a następnie podniósł cło na niektóre wyroby niemieckie. Gęsi odrazu ozdrowiały i znowu wolno je przepędzać przez granicę. Jest to drobna, ale wymowna ilustracya tego samolubnego i tylko przed siłą ustępującego systemu, którego twórca zmarł we Friedrichsruh.

Napisy.

Jak donosi *Warsz. Dniewn.*, gubernatorom w Królestwie Polskiem polecono, ażeby odtąd napisy na drogowskazach były podwójne: rosyjskie i polskie. Przywrócono w ten sposób moc niezmienionego rozporządzenia b. dyrektora b. komisyi do spraw wewnętrznych i duchownych z 10 lipca 1835 r. Konieczność zachowania na przydrożnych tablicach również języka polskiego wskazana została tą okolicznością, że one chybiały swojego celu, gdyż zaledwie mała tylko cząstka ludności mogła z nich korzystać, a więc były prawie bezużyteczne. Szkoda, że w niektórych powiatach (gub. Warszawskiej, a może i innych), na początku roku obecnego kazano sprawić nowe tablice, które teraz będą bezużyteczne, a które jakiś przedsiębiorca dostarczył gminom po dość wysokiej cenie. Wobec tego byłoby pożądanem, ażeby gminy, ponosząc nowy wydatek, same robiły obstalunki, dbając o to, ażeby one wypadły im najtaniej.

Żydzi we wsiach.

Podniesioną przez nas kwestyę sprzeczności pomiędzy orzeczeniem senatu a rozporządzeniem administracyjnem co do zamieszkiwania Żydów na gruntach włościańskich *Gazeta Sądowa* wyjaśniła w ten sposób:

„Prawo z d. 11 (23 czerwca) 1891 r., na którem rzeczone rozporządzenia oparto, zakazuje Żydom wydzierżawiania, najmu itd. posiadłości włościańskich. Jednakże zebranie ogólne departamentów senatu w d. 22 stycznia st. st. 1896 r. (nr. 16 zbioru urzędowego) orzekło, że powyższe postanowienie prawodawcze nie tamuje przemieszkiwania Żydom w obrębie osad włościańskich, że, słowem, prawo to pragnęło zapobiedz jedynie eksploatacyi ludności włościańskiej przez Żydów. Jeśli tedy najem mieszkania ma na celu tylko zapewnienie Żydowi mieszkania, to nie można uważać tego rodzaju umowy za przeciwną prawu i lokatora z osady rugować. Oczywiście tedy Żyd, wynajmujący mieszkanie na czas letni, o chęć eksploatacyi posądzonym być nie może i dlatego usuwać go z najętej siedziby nikt nie jest władny. Nadmieniamy, że orzeczenie ogólnego zebrania senatu stanowi autentyczną wykładnię prawa, a jako takie, obowiązuje wszystkich, do których należy piecza nad ścisłem stosowaniem przepisów obowiązujących.“

Wyjaśnienie to rozszerza prawo Żydów do zajmowania posiadłości włościańskich po za możnością wynajmowania letnich mieszkań, gdyż pozwala im zamieszkiwać stale, zabrania tylko „eksploatacyi“ gospodarstw chłopskich. Zanim na ten punkt padnie należyte światło, tymczasem — jak donosi *Kur. Warsz.* — w powiecie Nowomińskim przerwano wydalanie Żydów z letnich mieszkań, a cała sprawa ma być później uregulowana zbadaniem odnośnych przepisów i stosunków. Obecnie zabroniono tylko stanowczo dzierżawienia przez Żydów sklepików, pobudowanych przez włościan w bliskości siedzib letnich, gdyż to podchodzi pod zakaz „wyzyskiwania osad włościańskich.“

Podatek od welocypedów.

Nie ulega wątpliwości, że rower jest u nas jeszcze przedmiotem zbytku, że głównie służy dla rozrywki; ale i to także jest pewnem, że wchodzi on coraz bardziej w życie praktyczne, jako środek szybkiej komunikacyi. I oto ledwie zaczął przybierać rolę użytkową, już zbudził chęć wyciągnięcia zeń korzyści podatkowych. Rady miejskie w Moskwie, Petersburgu, a podobno i w Warszawie, radeby uzyskać 10 rs. od każdego roweru rocznie. Pytamy, z jakiej racyi? Jeżeli chodzi o wyssanie coś ze zbytku, to przecież jest tysiące innych jego gałęzi, z których kasa miejska mogłaby zebrać owoce. Właściciele powozów, koni wierzchowych, klejnotów itd. daleko bardziej kwalifikują się do wysokiego opodatkowania, niż cykliści. Jeżeli znowu chodzi o daninę za korzystanie z dóbr miasta, to chyba rowery jeszcze mniej zużywają bruków, niż nogi ludzkie. Za cóż więc właściwie płacić mają, zwłaszcza że im po pewnych ulicach jeździć nie wolno? Zapewne 13,000 rowerów w Petersburgu, a 5,000 u nas — to obfite źródła dla podatku, ale jeżeli one dotąd dają po rublu (za numer) rocznie, to powinno wystarczyć. Opłata 10-rublowa byłaby stanowczo zdzierstwem, wcale nieusprawiedliwionem.

Przykre położenie.

Rzeczywiście, położenie staje się coraz okropniejszem. Znowu baron Lenwal, założyciel „Warszawskiego domu dla dzieci po robotnikach,“ wystąpił z projektem instytutu hygienicznego dla dzieci, ofiarując na ten cel 90,000 rs. W Instytucie tym dzieci do lat 14, bez różnicy wyznania, otrzymywać mają: 1) kąpiele i natryski *czystości*; 2) poradę lekarską; 3) czystą bieliznę; 4) zaś matki ich uczyłyby się stosowania zasad hygieny w praktyce. Według bowiem bar. Lenwala, „celem Instytutu będzie wszczepiać w dzieci praktycznie główne podstawy hygieny, a tem samem krzewić i rozpowszechniać je w ludności z tem przekonaniem, że tylko młode pokolenie, przyswoiwszy je sobie, będzie mogło przenosić na dalsze, gdyż starszych ludzi trudno wogóle czegoś nauczyć.“ Rozumie się, nie mamy innych uczuć dla tego pomysłu i tej ofiary, jak wielkie uznanie i radość, że dzięki zacnej woli znowu jakaś cząstka potrzeb społecznych będzie zaspokojoną. Z drugiej wszakże strony pojmujemy mocne zakłopotanie wszystkich tych, którzy się mianują urodzonymi patronami społeczeństwa i każdy dany mu grosik przywieszają do wielkiego dzwonu, a których każdy obywatelski czyn tego rodzaju, z innej sfery pochodzący, mocno żenuje. Wawelberg, Rotwand, Lenwal dziś, Wawelberg, Rotwand, Lenwal jutro, i tak ciągle ci ludzie składają ogromne sumy na ołtarzu dobra publicz-

nego, podczas gdy jego tytularni arcykapłani zakładają stajnie wyścigowe, lombardy, czasem fabryki, obdarzając co najwyżej biednych swą obecnością na balach i przy kwestach dobroczynnych. Rozłakomiony przez Wawelbergów Rotwandów, i Lenwalów tłum, patrzy na ręce „swoich panów" i znajdując w nich tylko rękawiczki *sang de boeuf*, złośliwie uśmiecha się. Doprawdy, okropne położenie.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Szymon Askenazy: *Studya historyczno - krytyczne*, Kraków, 1897. — Władysław Smoleński: *Szkoły historyczne w Polsce*, Warszawa, 1898.

I.

Czy dziejopisarstwo jest tylko sztuką obrazującą i wypuklającą wybitniejsze przygody ogólnego biegu spraw ludzkich, czy raczej nauką, poszukującą praw stałych w nieprzebranem mnóstwie drobiazgów i przypadłości bytu człowieczego? — pytanie to na nowo poruszone zostało przez dwóch celniejszych przedstawicieli naszego piśmiennictwa historycznego ostatniej doby, Askenazego i Smoleńskiego. Pierwszy odpowiedź swą osnuł na pierwszorzędnych wzorach zagranicznych (na pismach Rankego, Taine'a itd.); drugi zajął się wyłącznie przebiegiem kierunków historycznych w Polsce od czasów najdawniejszych.

Najważniejsza wzmianka Askenazego, dotycząca przedmiotu, należycie uwydatnia zarówno wagę zagadnienia, jako też — a przedewszystkiem — trudności stanowczego jego rozwiązania. Dla przykładu powołani zostali w pierwszym rzędzie dwaj historycy angielscy największego w w. XIX rozgłosu, Tomasz Buckle i Tomasz Carlyle. Według Buckle'a, przedmiotem badania historycznego są niezliczone tłumy ludzi małych, ulegających wielkim prawom; cel zatem historyi polega na wykryciu najważniejszych i najstalszych z tych praw. Według Carlyle'a, przeciwnie, poszukiwanie praw stałych i ogólnych jest w historyi bezcelowem, gdyż dzieje są wytworem niezbadanej w swych źródłach genialności ludzi wyjątkowo wielkich, ulegających małym, niedającym się przewidzieć przypadkom. Askenazy mniema, że obaj ci myśliciele rozminęli się z prawdziwem zadaniem dziejopisarstwa — z tem przynajmniej zadaniem, „jakie przy dzisiejszym stanie tej nauki historya stawiać sobie może i powinna." Zadanie to, skromniejsze zarazem i donioślejsze, lepiej od Anglików określił uczony niemiecki, Leopold Ranke. Nie liczy on na żadną siłę powszechną, na żadną opatrzność lub fatalizm dziejowy; nie szuka w historyi praw niewzruszonych, nie imponuje mu statystyczne obliczenie Buckle'a, nie olśniewa go światło bijące od bohaterów Carlyle'a. Poprostu pragnie wyjaśnić: „jak właściwie było" — *wie es eigentlich gewesen*... Przychylając się do tej opinii, krytyk nasz dodaje: przeszłość ciemną a nieskończoną oświecić tylko — tylko dokładnie ją widzieć, alboż to nie dosyć trudne? I taką też jest dzisiaj, żmudniejsza niż kiedykolwiek robota historyka, który zagłębiony w kurzu archiwalnym, wszędzie dążąc do źródeł, sprawdzając, porównywając teksty, ważąc cyfry, to zastanawia się nad zjawiskami zbiorowemi (jak Buckle), to znowu dobaduje się prawdy w duszy jednostek kierujących (jak Carlyle), wszystko nie w żadnym innym zamiarze, tylko aby widzieć dokładnie...

Bez wątpienia, na tem się rzecz cała zasadza, aby módz widzieć dokładnie. Lecz jaka jest właściwie ta możność, najlepiej okazał sam Ranke, autor formuły. Askenazy wysuwa najpierw na czoło swych uwag kilka szczegółów z życia historyka niemieckiego, wyjątkowo ujemnych. W r. 1825 powołano Rankego na wszechnicę berlińską, a lubo człowiek to jeszcze był młody, odrazu prawie zachorował na słabość oczu... i żeby „dokładnie widzieć w przyszłości," sprawił sobie takie same okulary, jakich Hegel używał w wykładach filozofii, zastosowanej do wymagań... programu rządowego. Nie dość na tem. Kiedy następnie, po wybuchu rewolucyi w Paryżu, założone zostało nad Sprewą, pod protektoratem pruskiego ministra spraw zagranicznych, Bernstorffa, „Czasopismo historyczno-polityczne," powołane powagą naukową osłaniać przestarzały i zużyty bieg spraw publicznych, Ranke stanął na czele tej straży ogniowej. Uniewinniał się później w zapiskach tem, że kierunek przez niego obrany nie był „ani rewolucyjnym, ani reakcyjnym" — ale Askenazy zapewnia, że „odczytując dziś te obszerne rozprawy, rozważające rzeczy współczesne ze stanowiska historycznego (to jest niby na podstawie przepisu „widzieć jak rzeczywiście było"), niepodobna opędzić się pewnemu niesmakowi." Krytyk nasz mniema, że powód owego niesmaku tkwi nie w naczelnem haśle Rankego, lecz tylko w niewłaściwości stosowania metody ultra-historycznej do zjawisk żywych, bieżących. Na rzeczy bliskie — powiada — nie trzeba patrzeć przez teleskop — i nieraz ci, co swobodnie (po dyletancku) oddają się prądowi chwili, lub też w linii prostej płyną przeciw niemu, lepiej będą w stanie kierunek prądu odczuć i określić, niż historyk obojętny, który usiłuje w poprzek go przeciąć... Ciężkie to złudzenie! Nie nadużycie metody jakiejkolwiek, lecz brak wszelkiej podstawy metodycznej jest tu winowajcą. Wolno, kogo chcemy, obarczać odpowiedzialnością za takie nonsensy, jak te, którym uległ Ranke, gdy usiłował np. dowieść, że sprawcami rewolucyi „byli" tacy mistycy, jak Andrzej Towiański i jego „Biesiada" lub Lamennais i jego „Paroles d'un croyant." Najzapalczywsza nienawiść rasowa, najtwardszy system administracyjny nie byłby w stanie równie niemowlęcego skojarzenia przyczyny marnej ze skutkiem olbrzymim narzucić człowiekowi o głębszem historyozoficznem wykształceniu i szerszym naukowym poglądzie na bieg spraw i dzieł ludzkich. Zupełnie co innego tu zachodzi.

Ranke był publicystą marnym nie dlatego, że był historykiem dobrym lub złym, lecz dlatego jedynie, że nie był sobą, nie miał żadnego realnego, wyrównanego wyobrażenia o życiu i świecie. W pościgu za nieokreślonem, wiecznie zmiennem i mieniącem się „widzeniem tego, co było," opisywał on lądy swoje i cudze, społeczeństwa stare i nowe, sytuacye i instytucye najrozmaitsze — na chybił trafił. Jest to jakieś miernictwo według miar niewiadomych albo dowolnych: łokieć w historyi narodów romańskich, sążeń w historyi narodów germańskich, pręt w historyi narodów pruskich, cal w historyi narodów słowiańskich... Ależ — powiedziećby na to gotów Askenazy — miał za to Ranke w ręku wyborną lampkę aladynską: oryentujące światełko gołej, pustej zasady „widzieć jak *istotnie* było." Właśnie że nigdzie nie widać owego „istotnie." Świadczy o tem analiza dzieł Rankego, dokonana przez naszego krytyka. W „Historyi papieżów" tolerancya posunięta podobno została do stopnia, który w oczach krytyków protestanckich czyni ją ckliwszą od najckliwszej apologii; nawzajem z „Historyą protestantyzmu" zaszedł znowu taki wypadek, że dość było katolickiemu księdzu-samoukowi, Jansenowi, dmuchnąć na nią, ażeby się rozleciała, jak domek karciany. „Historya Prus" powstała z herbatnich odczytów u króla Fryderyka Wilhelma i „więcej dla niego była pisaną, niż dla krytyki i publiczności"; w „Historyi Anglii" chodziło o wykazanie w ustroju Wielkiej Brytanii doskonalszej formy rozwoju, niż we Francyi; w „Historyi Francyi" przewodnią nić poszukiwania wysnuła się z patryotycznego bólu i oburzenia za zabraną przez Ludwika XIV Alzacyę i spalony Palatynat... Słowem, co przedmiot — to temat, co kraj — to filozfia, co okres — to świeża teorya dziejopisarska. Ogólnik: widzieć, jak rzeczywiście było, służy wszędzie tylko za wstęp i pretekst do mówienia o tem, co nakazywał interes chwili lub położenia, co doradzała ślepa namiętność tłumu lub wspaniałomyślnie szczodra zabiegliwość przywódców...

A zresztą — może tak być powinno, może inaczej nigdy nie bywało i nie będzie. Tyle prób złamanych, tyle nadziei zawiedzionych! Oto przed nami drugi koryfeusz tegoczesnego piśmiennictwa, Hipolit Taine, „pierwszy z żyjących historyków Francyi (pisał o nim Askenazy w r. 1892, na rok przed jego zgonem), pierwszy od lat dwudziestu psycholog, pierwszy od lat trzydziestu krytyk francuski..." Jemu z pewnością nie brakło wiedzy usystematyzowanej o losach i przeznaczeniach człowieka, o jego stosunku do otaczającej przyrody. Kwestya, czem jest historya, wcześnie przez niego rozstrzygniętą została teoretycznie, w szeregu postulatów — jakby się zdawało — niewzruszonych. Szczebel pierwszy w postępowym rozwoju zadań dziejopisarskich polega na tem, ażeby z martwego materyału kronik i podań wydobyć na jaw rzeczywistość dotykalną, zmysłową, „przywracając do życia ludzi i społeczeństwa dawne, z ich mową, strojem, trybem zajęć codziennych". Historyk jest tu dopiero jeszcze artystą, odtwórcą, malarzem, a dziejopisarstwo — sztuką. Wszelakoż, jeśli badamy człowieka widzialnego, czynimy to w tym celu, aby w nim znaleźć człowieka niewidzialnego, aby rozejrzawszy się w jego domu, stroju, otoczeniu, poznać jego zwyczaje, usposobienia, energię, mieć miarę jego umysłu, wynalazczości, krwi zimnej, wykryć porządek i siłę przeciętną jego pojęć, zrozumieć, jak on myśli i jak postanawia... Na tym drugim szczeblu historyk, który z kronikarza został był malarzem, obecnie z malarza staje się psychologiem... Na tem jednakże poprzestać nie można: wypada mu zrobić jeszcze krok trzeci, najważniejszy. Najróżnorodniejsze zjawiska psychiczne (duchowe) można i należy rozpatrywać jako pasmo nieprzerwane przyczyn i skutków i układać je podług cech wspólnych — a więc zarazem można i należy wykazać ich zależność od pewnych czynników zasadniczych a ogólnych, jak rasa, otoczenie, moment dziejowy; rasa np.: „istnieją z natury różne gatunki ludzi, różne narody, jak istnieją rozmaite gatunki byków lub koni, jak istnieją rozmaite gatunki psów — do polowania, do gonitw, do walki, do strzeżenia domu lub stada." Dopiero historya tak sporządzona „z opowieści zwyczajnej, opisującej jedynie wypadki, staje się nauką, która stwierdza prawa."

Taki to program postawił Taine na lat trzydzieści z górą przed swoim zgonem, i przyznać trzeba, że jako krytyk ściśle się go trzymał w ocenianiu prac i dzieł swoich poprzedników na polu dziejopisarskiem. Olbrzymia „Historya Francyi" Micheleta, świetna pod względem stylu, jest według niego za mało naukową, „posiada wszystkie zalety natchnienia: barw-

ność, namiętność, wymowność, wzruszenie — brak w niej zalet badania naukowego: jasności, ścisłości, miary, powagi; jest dziełem zdumiewającem, lecz niekompletnem, podbija czytelnika, lecz go nie przekonywa.“ Guizot znowu w klasycznych swych „Dziejach rewolucyi angielskiej“ jest zanadto oschłym i sztywnym, za mało obrazowym: „gdzie są uczucia, miotające tym tłumem, gdzie namiętności, które obaliły dziesięć rządów, zwyciężyły zwycięzców, przywołały z powrotem wygnańca, żebraka, syna skazańca ściętego, aby wydać w jego ręce wszystkie swobody narodowe?“ Jeden tylko „Kromwel“ Carlyle'a zadawala Taine'a w zupełności, nie dlatego jednak, aby dzieło naprawdę było „naukowem,“ ale tylko, że się składa z „wyboru tekstów, zaopatrzonych komentarzem“ i pod względem sztuki, czyli układu artystycznego, nic do życzenia nie zostawa. To samo i Macaulay, imponujący doskonałą równowagą „wyobraźni twórczej i trzeźwości naukowej.“

I czegóż chcieć więcej? Jesteśmy w porządku, weszliśmy na dobrą drogę Posiadamy program wyśmienity, opatrzeni jesteśmy doskonałymi wzorami. Do roboty, z kolei, zabiera się mistrz wytrawny, doświadczony, obdarzony wszystkimi przymiotami pierwszorzędnego pisarza i myśliciela, autor „Początków Francyi nowoczesnej.“ W stylu najlepszych pism Taine'a (powiada Askenazy), zwłaszcza w stylu ostatnich jego pism historycznych, łacno dostrzeże czytelnik odbicie najcelniejszych zalet wymienionych przed chwilą historyków: „nadczułości poetyckiej Micheleta, namaszczenia Guizota, jaskrawych wybuchów Carlyle'a, nadewszystko zaś skupionej systematycznie potęgi Macaulay'a.“ Hartowana w takich ogniach praca — niechybnie chyba wydać musi arcydzieło. Niestety, wydała wyłącznie ogromny, potwornych rozmiarów pamflet polityczno-historyczny. Zmartwychwstał Ranke — odbity tylko naodwrót; jako w historyku niemieckim długie i specyalne obcowanie z przeszłością odległą wyraziło się głuchotą na prądy teraźniejszości, tak znowu w historyku francuskim chwiejne zachcianki teraźniejszości skazały na ślepotę — przeszłość. Sam Taine z naiwnością niemal dziecka wytknął sobie grzech tego samobójstwa dziejopisarskiego w przedmowie do „Początków.“ W młodości nie wiedział on, jak skorzystać z praw obywatela i wyborcy, na kogo lub na co głosować: na monarchię czy republikę, na demokracyę czy arystokracyę; powiedział przeto sobie: człowiek może oświadczyć, jaka się mu budowla lepiej podoba, lecz dopiero doświadczenie zdoła wykazać, jakiej mu istotnie potrzeba. Postanowił przeto „potrzebę“ wykryć w przeszłości Francyi, jak ją Rewolucya z końca XVIII w. zorganizowała; że zaś zamiar ten powstał i rozwinął się u niego nazajutrz po klęskach wojny 1870—71, która w ruinach swych pogrzebała napoleonidów — spadkobierców wielkiej Rewolucyi, nie mogło więc ulegać najmniejszej wątpliwości, że umysł, zaprzątnięty i pochłonięty tak konkretnem, żywem, dotykalnem zagadnieniem dojrzy w preludyach listopadowych, archiwalnie niewyczerpanych, przeważnie to, co tak ciężko i boleśnie dało się we znaki w skutkach, bynajmniej naukowo niezdefiniowanych i nieroztrząśniętych.

Dzieło, bądź co bądź, pod żadnym względem nie dopisało prognostykom, wysnutym z pierwotnej programatologii twórcy. Zdobyło się ono na szczebel drugi, artystyczno-malarski, ale z połamaniem na szczątki szczebla drugiego, naukowego. Askenazy napróżno podnosi zacne obywatelskie uprzedzenia Taine'a („lepiej jest wnosić do historyi pytania polityczne, aniżeli uprzedzenia“), napróżno łagodzi cienie („czy wolno było specyalizować się w ten sposób?“) — tłomaczenia takie zamiast koić, czynią przykrość rozczarowania.

J. T. Hodi.

PSYCHOLOG MAS LUDZKICH.

II.

Wszystkie przyrządy telegraficzne wzdłuż linii dudniały — tak kończy się jeden ze słabszych utworów Zoli, *Człowiek-zwierzę* — wszystkich serca uderzały na wieść o pociągu-potworze. Ten zaś, jak ścigany daniel, nie zwalniał biegu, nie darzył uwagą czerwonych sygnałów... Toczył się on, toczył wśród mroków nocy, niewiadomo dokąd — dalej i dalej po torze...

„Co znaczą te ofiary, które maszyna rozmiażdży po drodze? Niepomna krwi rozlanej, wszak idzie ona ku przyszłości! Bez konduktora, w ciemnościach, jak głuche i ślepe bydlę, które stchórzyło przed śmiercią toczyła się, toczyła dalej mięso na rzeź dla armat, — żołnierzy już stępiałych od zmęczenia i pijanych, którzy jednak wyśpiewywali!“

Maszynista z podpalaczem spadli pod koła, pozostawiwszy kocioł pod takiej prężności ciśnieniem, iż pociąg pędzi rozhukany, tratujący co napotka na drodze. Potwór ten rozszalały wiezie wojsko na plac boju, gotując hekatomby przed czasem. Rzecz martwa staje się bohaterem, maszyna — żywem stworzeniem, ludzie-żołnierze to tylko upiększenie obrazu, nie zaś działacze. Pan stworzenia zszedł na kopciuszka, natomiast dzieło rąk jego drga życiem. Powieściopisarz, co ujął istocie ludzkiej, tem obdarzył lokomotywę.

Rys to charakterystyczny, powtarzający się stale u Zoli nietylko w tych utworach jego, które stanowią najdoskonalsze ogniwa w potężnej epopei społeczeństwa kapitalistycznego, lecz i w najsłabszych, które czytając dziwimy się, iż mogły wyjść z pod tego samego pióra, co tamte; nietylko w dziełach, które winny nas poznajomić z życiem instytucyi i żywiołów, ale także tam, gdzie, jak w *Marzeniu*, zdawałoby się, pisarz wziął rozbrat z ludźmi-schematami i poprzestał na rozbiorze dusz indywidualnych. Maszyny, magazyny, koleje, parki, macierz-ziemia, kopalnie — wszystkie te rzeczy żyją, czują i niemal mówią, mają swoje zachcianki i namiętności, rozstawiają sidła — wrażenie, które również odnosimy, studyując ekonomistów i socyologów, głębiej sięgających w sprężyny obecnego życia społecznego. I właśnie to obdarzanie życiem produktów ręki ludzkiej i warsztatowej działalności sprawia, że we wspomnieniach, które spoczywają tam w pokładach mózgu naszego, niema istot imiennych, tylko podłoże materyalne; niema osobistości, tylko schematy; niema wreszcie duszy zindywidualizowanej, tylko języki lub mięśnie, dodane do hali lub ziemi. I Zola umie po mistrzowsku wyzyskać tę stronę swego talentu, każdy lepszy utwór jego rozpoczyna się od wlania życia w rzecz martwą i kończy się obrazem takiej samej natury.

Zwróćmy się jeszcze raz do jednego z utworów, nad którym już zastanawialiśmy się.

Powieść *Au bonheur des dames*. Denise, przyjechawszy do Paryża, poszukuje sklepu stryja i napotyka po drodze wielki magazyn sprzedaży detalicznej. Choć wobec rannej godziny nie było jeszcze nabywców, huczało tam we wnętrzu, jak gdyby ul ze snu się budził. Denise podniosła głowę: sklep ów poruszył jej serce, oplątał ją, i dziewczę zapomniało o wszystkiem, wpatrzone w ogrom gmachu, bogactwo wystaw. Czujemy, że powieściopisarz przedstawia nam istotnego bohatera powieści, że gdy ludzie-działacze wywietrzeją z pamięci, olbrzym wielopiętrowy będzie tam tkwił. I odtąd magazyn pojawia się na stronicach powieści, jako żywe jestestwo. „Magazyn zapalił swe różki gazowe. Maszyna ta jeszcze huczała, jeszcze była czynną, wypuszczając resztki pary swojej w ostatniem chrząknięciu. Subjekci zawijali towary, kasyerzy liczyli pieniądze. Po przez pobladłe szyby światło migało niepewne, widać było bezwładne wnętrzne huty. W zasłonie deszczowej widmo to, odległe, zamglone, przybierało pozory olbrzymiego pieca, w którym majaczyły przesuwająco się ciemne sylwetki palaczy na czerwonem tle ognisk.“ I niemal w każdym rozdziale powtarza się opis „olbrzyma,“ „potwora,“ „maszyny“ — z innej strony. Nuży to na razie czytelnika, przyzwyczajonego do efektów — szuka on „kwintesencyi“ i narkotyków. Lecz kto, nie tyle dbając o wątek powieści, pogrąży się w te opisy, zainteresowywa się życiem stworzenia-magazynu, czuje jak ono rośnie i pęcznieje, jak wypręża członki; dostaje zawrotu głowy gdy Mourot, ów mózg maszyny, w obliczu miliona franków obrotu dziennego, obejmuje kibić Denisy, przyszłego serca magazynu, pragnącego przetworzyć go na falanster, na asocyacyą współdzielczą. Potwór zwyciężył! I pojmujemy, że zdeptani współzawodnicy czuli tak samo, jak my: wygrażają pięściami nie przeciw człowiekowi, który zatarł się, tylko w oburzeniu na potwora, co raz przyznany za źródło klęski przybiera charakter smoka społecznego. Umierająca pani Baudu, żona jednego z kupców, siada na łóżku wpatrzona we wroga. „Tylko jej oczy jeszcze żyją. Skierowywa twarz bladą ku magazynowi, źrenice jej toną uporczywie w jego cielsku po przez firanki okna. I mąż, cierpiąc od takiego opętania żony, o l tej sztywności spojrzeń, niekiedy pragnął spuścić rolety. Lecz gestem błagała ona, żeby tego nie robił, opętana widokiem aż do chwili oddania ostatniego tchu.“ „Ten potwór wszystkiego ją pozbawił — domu, córki. Sama ona umiera i życie z niej umyka w miarę tego, jak firma jej traci odbiorców, i w dniu, w którym nikt nie przyjdzie, wyzionie ducha. Konając, miała jeszcze tyle mocy, iż zażądała od męża otwarcia okien. Było łagodnie na dworze, słońce igrało wesoło, ozłacając magazyn, tymczasem gdy pokój starodawnego mieszkania drżał w cieniu. Nieruchoma i zapatrzona skonała, w oczach jej tkwiło widzenie tryumfującego pomnika, tych szyb zamglonych, za któremi miliony galopowały. A kiedy oczy jej pobladły i śmierć je zgasiła, jeszcze były tam zwrócone, jeszcze patrzyły, zroszone wielką łzą!“ Dla rodziny Baudu'ów firma morderczа żyje, chciwa i głodna, jak bestya apokaliptyczna. Złośliwość swoją posuwa nawet tak daleko, iż przy swojem odnawianiu i rozszerzaniu wysyła ona im kurz; zrozpaczeni patrzyli na ten pył przenikający szuflady najlepiej zamknięte, przedostający się nawet do łóżek. Myśl, że oddychać oni muszą wyziewami potwora, że pył od niego zapycha im usta, doprowadzała ich do rozpaczy, w nocy zaś hałas roboty dusił ich we śnie i niepokoił; gdy zaś dla usunięcia trawiącej gorączki powstawali z łóżek i boso szli podnieść firankę, bywali wstrząśnieni przez widmo magazynu, świecące wśród mroków, jako kuźnia kolosalna, w której kuto ich ruinę: ojciec czuje, iż potwór gotuje mu bankructwo, córka, że odbierze kochanka. I taką jest psychika każdego z kupców starej daty; na pogrzebie p. Baudu, idąc po błocie, podnoszą wzrok, pełen nienawiści na olbrzyma, którego „jasne szyby, wystawy, wesołe wystrojone, rzucają im w twarz obelgę.“

Wszyscy w tej powieści czują, że olbrzy-

mi twór żyje, i czytelnik odnosi to samo wrażenie. Wyobraźnia Zoli, tak względnie uboga, gdy chodzi o zgłębienie tajników duszy indywidualnej, dosięga mistrzowstwa, kiedy ima się on psychologii takiego jestestwa społecznego. I takie ożywianie maszyn, hal, ziemi stanowi zasadnicze piętno twórczości powieściopisarza francuskiego. Na tę stronę jego talentu zwrócili uwagę wszyscy krytycy, którzy nie dali się uwieść okłamywaniu Zoli przez samego siebie, iż jego zadaniem — fizyologia dziedziczności rodzinnej. „Prawie we wszystkich powieściach Zoli — pisze Lemaitre — znajdziesz rzecz nieżyjącą, las, morze, knajpę, magazyn, użytą jako widownia lub ognisko dramatu, rzecz, która oddycha życiem nadludzkiem i strasznem, która uosobnia pewną siłę przyrodzoną i społeczną, górującą nad pojedynczemi osobami, która wreszcie przybiera charakter potwornej bestyi, pożerającej dusze i niszczycielki ludzi.“

Istotnie, wszędzie niemal i zawsze taka bestya istnieje.

Hale, olbrzymi żołądek Paryża, żyje w taki sposób, pochłania w paszczęce swojej zapasy spożywcze, atmosferą swoją sprzyja dokoła bujnemu życiu wegetacyjnemu, stwarza opasłe episierki i pożera marzycieli. Taką istotą jest park Paradou, ustronie pełne panteizmu pogańskiego i prostej zdrowej miłości, zapachów i kwiatów, szmerów i cieniów, instynktów i zaspokojenia. Gdzieindziej inny znowu potwór, kopalnia, owa jędza karmiąca się życiem ludzkiem i wreszcie zatopiona przez wody rzeki Voreux — tak kończy żywot swój „zła bestya, dusząca się od mięsa ludzkiego,“ tak przestała „wydawać swój długi a ciężki oddech.“ Nawet kamienica żyje, owa świątynia infamii mieszczańskiej, z mistrzami dworu, kapelanami itd. To znowu rozciąga się żywicielka - ziemia, milcząca, bezwładna, a przecież wpływowa; z pozoru ujarzmiona przez człowieka, acz w gruncie rzeczy go ujarzmiająca — „kochanka, dla której mordujemy,“ „kobieta, która zabija,“ „macierz zapładniana,“ którą „człowiek robi,“ choć ostatecznie jest przez nią robiony. „Ziemia nie dba o nasze kłótnie — owadów pożerających, nie więcej zajmuje się nami, niż mrówkami, ona — wielka pracowniczka, wiecznie w siebiezapatrzona... Jedynie ziemia jest nieśmiertelną, ona, matka, z której wyszliśmy i do której wracamy, którą miłujemy aż do zbrodni, która wciąż odnawia życie dla celów niewiadomych, nawet za pośrednictwem ohyd i zbrodni naszych!“ Bestye idą za bestyami, potwory ustępują miejsca potworom, a tchnienie ich jest tak wszechwładne, iż autor dla nagłówków wybiera tytuły odpowiednie — etykieta na powieści powiada nam, że nie człowiek będzie tam bohaterem, tylko pewna siła przyrodzona lub społeczna: „Wnętrzności Paryża,“ „Assamoir,“ „Pot - Bouille,“ „Au Bonheur des dames,“ „Pieniądz,“ „Ziemia,“ „Walka,“ „Lourdes,“ „Rzym,“ „Paryż.“ Panteizm posuwa się tak daleko, iż nawet w tym samym utworze są mniejsi i więksi działacze martwi. Obok kolei lub kopalni, olbrzymich organizmów pracy zrzeszonej, żyją lokomotywy i maszyny, noszą ludzkie imiona. Ongi, w pierwotnej epoce dziejów, człowiek mający do czynienia z nieujarzmionemi siłami przyrody, stwarzał Cybele, Kronosów itd. i obdarzał te postacie odpowiedniemi przymiotami. U Zoli pozostają one, tylko że ziemia nie jest kobietą lecz bezkształtnem jestestwem, tylko park, inne stworzenie, odurza nas, drga miłością, kusi do pocałunków i zlania się dusz-ciał w upojeniu wzajemnem. Panteizm to bezosobowy. Ale epoka cywilizacyjna, nagromadziwszy zasoby bogactwa i wyłoniwszy w żywiołowym, dyalektycznym rozwoju zawiłe stosunki, rozszerzyła owo poczucie życia na twory więzi społecznej. My wszyscy w mowie hołdujemy takiemu pojmowaniu, dla nas „pieniądz ucieka z rynku,“ „bawełna podskakuje,“ „bank robi dobre interesy.“ Powstaje fetyszyzm towaru i pieniędzy, ta tajemnica niezrozumiała dla szkoły manczesterskiej ekonomistów. Socyologia idzie jeszcze dalej, mówi o żywiołowości rozwoju, o tem, że nie wiedza ludzka, tylko „maszyna“ stworzyła wielkie miasta i kwestyę społeczną. „Dzieła tego (mianowicie organizacyi sił wytwórczych) — pisze pewien ekonomista — dokonały siły ekonomiczne, potężniejsze, niż człowiek, i ślepe, jak potęgi przyrody. Dziki jest nędzną igraszką żywiołów, których nie zna. Cywilizowany ujarzmił niektóre siły, lecz za to jest poniewierany przez potęgi ekonomiczne, które sam wytworzył, tak samo jak fetyszysta—bogów, których sam wymyślił.“

Ekonomista musi się liczyć z przenośniami, nadto nie posiada tego polotu wyobraźni, takiego rozmachu zwrotów, co poeta. A Zola, bądź co bądź, jest poetą — epikiem ustroju kapitalistycznego, jak Homer barbarzyńskiego. W powieści jego siły ekonomiczne występują jako bazyliki handlu i spekulacyi, jako przybytki pijaństwa i infamii, jako potwory-kopalnie — szaleją i wściekają się lub ciche, spokojne pożerają ludzi jeszcze okrutniej, bo obficiej. I jak barbarzyniec, Zola nie widzi wędzidła na nie; w obrazach jego, nawet najbardziej zaglądających w przyszłość, nie czuć, ażeby człowiek zdołał wleźć na kark potworów i ukrócił ich swawolę. Z nieśmiałością kładzie on w końcowym ustępie *Pieniędzy* komuś w głowę zapytanie: „Pieniądze, ten niszczyciel i zatruwacz, stały się niezbędnym fermentem wszelkiego zarodku społecznego, koniecznem podłożem dla wielkich prac, ułatwiających istnienie. Są one nawozem, w którym ludzkość jutrzejsza kiełkuje! Czyż po nad takiem błotem, po nad pochłoniętemi ofiarami, po nad strasznem cierpieniem, jakiem ród ludzki opłaca każdy krok naprzód, czyż po nad tem wszystkiem niema jakiegoś celu ciemnego a dalekiego, czegoś dobrego, pięknego, sprawiedliwego, ku czemu dążymy bezwiednie?“ Bestye jego zdaniem szalały i szaleć będą, jak ów pociąg rozbukany; niepomne krwi rozlanej, idą one ku przyszłości — nieznanej, może wcale nie lepszej.

Zola w całej wyrazu rozciągłości jest panteistą-poganinem, socyologiem okresu barbarzyńsko-mieszczańskiego; jak rolnik starodawny nie wątpił o wszechwładzy kapryśnych potęg przyrody, tak samo powieściopisarz francuski, zdając sobie przewybornie sprawę z mechanizmu sił społecznych, uważa ich rozterkę i żywiołowość, panowanie nad człowiekiem i niemoc jego wysiłków za wieczne, żelazne prawo przyrody społecznej.

K. R. Zywicki.

SPRAWY EKONOMICZNE

Gospodarstwa Włościańskie
I REFORMY ROLNE W GALICYI.

II.

Reformy prawodawcze, to tylko jeden ze sposobów kształtowania stosunków. Dla własności włościańskiej ważniejszem jest prawie bezpośrednie popieranie ekonomicznego jej rozwoju. Wymaga ono usilnej i długotrwałej pracy, uwzględnienia właściwości przyrodzonych, społecznych, a nawet psychologicznych, które wytworzyły się wśród ludu. Potrzeba tu jak najdalej idącej indywidualizacyi i dlatego reforma prawna tak mało pomódz może. Nie dość uwzględnić klimat i glebę kraju, należy jeszcze przystosować reformy do materyalnych zasobów ludności, w wielu razach zasoby te stworzyć w postaci zapomóg lub odpowiedniego kredytu, a wreszcie poznać zwyczaje, rozbudzić energię i zamiłowanie, słowem przekształcić formy i ruch gospodarki, a wraz z niemi stwarzać ludzi zawodowych. Włościanin galicyjski nie jest przecież tak nieponętnym dla wszelkiej kultury materyałem, jakby się zdawać mogło. Jako kolonista za oceanem daje dowody olbrzymiej wytrwałości i pracowitości. Brak potrzeb, który w kraju jest nieraz powodem niedbalstwa, pozwala mu, wyszedłszy dla zarobku na Szląsk lub do Saksonii, powracać z groszem zaoszczędzonym. Gdzie, jak w Galicyi zachodniej, ma możność spieniężenia produktów lub własnej siły roboczej, chętnie dokupuje ziemię i nie szczędzi trudów i pracy, aby ją spłacić.

To też i wszelkie wskazówki ekonomiczne znajdują we włościanach galicyjskich chętnych wykonawców, a ci, co się z niemi zetknęli, nie potrzebują się skarżyć na oporność. Należałoby więc i nas naśladować Stany Zjednoczone A. Półn., gdzie dla podniesienia rolniczych zasobów kraju robi się wszelkie możliwe wysiłki, jak pouczanie przy pomocy wykładów i broszur, rozsyłanie nasion i próbek, elewatory zbożowe, stacye doświadczalne pośrednictwa w sprzedaży produktów itp. W Galicyi rozpoczyna się akcya zbliżona, jeżeli naturalnie porównywać nie będziemy rozmiarów jednej i drugiej.

Do spełnienia tej roli powołane są w pierwszym rzędzie Towarzystwa rolnicze. W Galicyi istnieją dwa stałe, zasilane przez rząd i Wydział krajowy. Krakowskie, które posiada 13 towarzystw okręgowych i 873 członków, oraz Galicyjskie we wschodniej Galicyi o 27 oddziałach, do których należy 1,732 członków. Samo istnienie tych dwóch Towarzystw daje możność przystosowania się do warunków zachodniej i wschodniej części kraju, które znaczne wykazują odrębności. Po za tem Towarzystwa postępują podobną drogą, a celem ich jest pomoc krajowemu rolnictwu. Z tej pomocy korzysta naturalnie najprzód ten, kto potrafi się o nią postarać, a zatem więcej posiadłość wielka, niż drobna. Zajęcie się gospodarstwami włościańskiemi i prowadzenie w tym kierunku działalności gospodarczej, oraz wpływanie na polityczną, leży w programie zadań Towarzystw i w zamiarach ministeryum i kraju. Przypatrzmy się tej robocie, co przyjdzie nam tam łatwiej, że pojawiły się właśnie doroczne sprawozdania za r. 1897. Znaczną uwagę zwrócono na wykłady. Instytucyę nauczycieli wędrownych powołano do życia w 1889 r., po trzech latach liczba ich wzrosła do 4. Są nimi rolnicy lub ogrodnicy, którzy za pewną opłatą w chwilach wolnych od zajęć zawodowych, a zatem przeważnie w zimie, wygłaszają po wsiach wykłady z zakresu rolnictwa, ogrodnictwa, chowu bydła, mleczarstwa itd. Dorywczość tych lekcyj, zależność ich od wolnego czasu nauczycieli, a nie od najodpowiedniejszej dla robót gospodarskich pory, obniżają ich znaczenie, uniemożliwiają niezbędne potrzeby. Dekret wyszedł z biurowego stolika, a wykonywany był po pańsku, z góry traktując kmiotka i jego potrzeby. I tak np. Sprawozdanie wspomina o 43 wykładach dotyczących uprawy lnu i konopi. Wypowiedział je ten sam nauczyciel w 43 gminach powiatów Bobreckiego, Rohatyńskiego i Przemyślańskiego w ciągu jednego miesiąca. Czy był on w stanie

dać istotne instrukcye, czy też tylko zalecał nowe gatunki nasion? A jednak na wykłady zebrało się 600 włościan, warto było pouczyć gruntownie tak licznych słuchaczów. W okolicach Lwowa i Krakowa włościanie okazywali znaczne zainteresowanie w wykładach o hodowli drzew i uprawie jarzyn, tymczasem wśród nauczycieli mało jest ogrodników.

W ostatnim roku wykłady wędrowne uznano za niedostateczne; obok nich wystąpiły tedy systematyczne kursy z zakresu rybactwa, mleczarstwa, pszczelarstwa i ogrodnictwa. W Krakowie i we Lwowie odbywały się kilkodniowe kursy rybackie i stawowe, poparte obfitym materyałem okazowym. W Krakowie znalazło się 64 słuchaczów, przeważnie nauczycieli ludowych i oficyalistów prywatnych, więc nie włościan, dla których rybołóstwo mniej doniosłe ma znaczenie. We Lwowie słuchaczów było 19. Cztery praktyczne kursy nauki mleczarstwa trwały po dni 14, licząc w każdej miejscowości po kilkunastu słuchaczów. Egzamina wykazały, że uczniowie przyswoili sobie teoretyczne i praktyczne wiadomości. Sprawozdanie z kursu, odbytego w Czernichowie, którego kierownictwo powierzono dr. Stefczykowi, wspomina, że między 14 słuchaczami było 6 kobiet, i że każdy z uczestników pokierować potrafi małą mleczarnią włościańską. Cel został osiągnięty, chodziło bowiem o umożliwienie zakładania mleczarni spółkowych, które podnieść mogą dobrobyt włościan. Na przyszłość postawiono wniosek, aby kurs przedłużyć do 4 tygodni, ograniczyć liczbę uczniów do 10, którzyby równocześnie zajęci być mogli codziennymi czynnościami wykonywanemi w mleczarni. Z kursu pszczelniczo-sadowniczego we Lwowie korzystało 18 słuchaczów, w Ostrowie pod Przemyślem pięciu nauczycieli ludowych uczyło się przez cały miesiąc pszczelarstwa. Dla nauczycieli ludowych również urządza Tow. ogrodnicze krakowskie kursy, które przy usilnej trzytygodniowej pracy dają im przygotowanie teoretyczne i umiejętność wykonywania najważniejszych robót.

Znaczną część słuchaczów na wszystkich kursach stanowią, jak widzimy, nauczyciele ludowi. Chodzi tu przecież nietylko o ich własny interes, jakkolwiek przy głodowych płacach tych ludzi i to na względzie mieć trzeba. Nauczyciel stworzyć może wzorowy ogród, sad, lub pszczelarnię dla włościan. Jest on kierownikiem młodego pokolenia, dla którego prawdopodobnie wkrótce zaprowadzą obowiązkowe wykłady z tych przedmiotów i które, obrabiając ogród nauczyciela, otrzymuje praktyczne wskazówki. Wszelkie ulepszenia zaś, zwłaszcza w gospodarstwie wiejskiem, wówczas dopiero nabierają znaczenia, gdy istnieje umiejętność ich zastosowania.

Wśród kursów zaznaczyć jeszcze należy weterynaryę i kucie koni w Galicyi wschodniej. W Niezankowicach, niedaleko Przemyśla, z 8-dniowego wykładu kucia koni korzystało 42 kowali. W okręgu stanisławowskim urządzono trzy kursy podobne, w każdym brało udział po 14 kowali, a zainteresowanie w okolicy było ogromne.

Za wykładami idzie rozdzielanie szczepów owocowych i nasion między włościan. 700 szczepów rozesłano w tym celu oddziałom Towarzystwa w Stanisławowie, Nadwórnej, Rohatynie i Przemyślanach. To dopiero początek. Znacznie więcej zrobić będzie można, gdy wykonany zostanie projekt założenia szkółek drzew owocowych pod Lwowem i Krakowem. Projekt krakowski wyznacza produkcyę 20,000 drzewek rocznie i sprzedaż ich po nader niskiej cenie. Ze szkółkami połączony ma być objazd gmin okręgu krakowskiego w celu pouczenia, jak się z drzewkami obchodzić. Sprowadzanie nasion rozpoczęło Towarzystwo galicyjskie od lnu i konopi, rozdzielając je między włościan i zachęcając do kupowania gatunków lepszych, nadających się do warunków miejscowych.

Najwięcej uwagi i lwią część funduszów, bo 99½ tysięcy złr. przez rok poświęca się na chów bydła i koni. Rasy zagraniczne, chowane dotychczas w Galicyi, mało odporne były na warunki klimatu, a włościanin tracił przychówek nietylko dlatego, że go źle żywił, ale także, że wśród ras zagranicznych łatwo szerzyła się gruźlica. Zasługą prof. Adametza, powołanego obecnie na katedrę chowu bydła do Wiednia, było odnalezienie krajowej rasy czerwonego bydła. Nie jest ona tak bardzo mleczną, nie daje okazów znacznych rozmiarów, ale jest oporną na warunki miejscowe i nie ginie. Dla rozpowszechnienia jej założono już we wschodniej Galicyi 6 obór gminnych. W r. 1897 było 180 stacyj, w części uposażonych przez rady powiatowe, dokąd sprowadzają buhaje. W miejscowościach ze stacyami przychówek okazuje się wiele lepszym, sprawozdania skarżą się jednak, że nie udało im się oddziałać na postęp w żywieniu. Przyczyną jest, że w tym kierunku nic się nie robi. Równocześnie z gospodarstwem zwierzęcem iść powinna uprawa łąk, hodowla buraków pastewnych i marchwi, końskiego zęba, bobu, koniczyny itp., a wśród włościańskiej biedy samo z siebie to nie przyjdzie. Na wystawach przeglądowych, których ostatni rok wykazuje 20, wielu włościan otrzymuje wprawdzie nagrody za okazy, a gdy wystawiony byczek sprzedany odrazu zostanie za wysoką cenę, robi to wrażenie ogromne. Pomimo to wydatki na bydło przynoszą znacznie większą korzyść obywatelom, niż włościanom, gdyż najdrobniejsze gospodarstwa nie mają nawet środków, aby je chować racyonalnie. Więcej już znaczenia mieć będzie dla gospodarstw tej kategoryi popieranie trzody chlewnej, dla której urządzają stacye kursów.

Działalność kółek rolniczych, obracająca się dotąd przeważnie w obrębie osobistej konsumcyi włościan, wielkie by i dla produkcyi mieć mogła znaczenie. Początek w tym kierunku zrobiony: w Krakowie istnieje sprzedaż nasion rolniczych, ale sprzedaży ich towarzyszyć muszą wykłady i instrukcye drukowane, jeśli istotna korzyść ma stąd wyniknąć. Przy pomocy kółek dokonano również lustracyj gospodarstw włościańskich, na co Towarzystwo galicyjskie wyasygnowało 4,000 złr.

Rozpatrując pojedyncze przejawy działalności, mającej na celu dopomożenie rolnictwu galicyjskiemu, przekonywamy się, że zaledwie mała ich część przynieść może korzyść włościanom. Zaprowadzanie chmielników i rybołóstwo może dostarczyć zajęcia jednostkom ze stanu włościańskiego, ale do gospodarstw drobnych się nie nadaje. Chów owiec przeznaczony jest dla większych, albo też górskich, zapomoga na polepszenie rasy koni włościańskich i roboczych wynosiła zaledwie 150 złr., bydło czerwone stworzy silną rasę krajową, ale bez odpowiedniej paszy dla gospodarstw włościańskich bardzo małe ma znaczenie. W zakresie hodowli zwierząt należałoby tedy zwrócić jeszcze większą uwagę na chów świń, bo te i w najdrobniejszem gospodarstwie przychować można i podnieść jego wydajność.

Wogóle zaś uderza pomijanie ulepszeń czysto rolnych. Intenzywna uprawa każdego kawałka ziemi, to jedyny ratunek dla ludności małorolnej w kraju, gdzie pozbawienie jej tego kawałka ziemi grozi głodem lub emigracyą. Tymczasem o uprawie roślin handlowych nic słychać, na ogrodnictwo wydały oba Towarzystwa zaledwie [illegible] tys. złr., gdy na gospodarstwo zwierzęce poświęcono prawie 100 tysięcy. Widać ze wszystkiego, że nie zwraca się uwagi na najdrobniejsze gospodarstwa włościańskie, że po dawnemu zostawia się jedno i trzymorgowych właścicieli własnemu ich losowi.

Dr. Zofia Daszyńska.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 31 *Prawdy* umieszczony jest artykuł pod tytułem „Niepożądana zagadka,“ zawierający kilka uwag o działalności pracowni chemicznych wogóle, a specyalnie o pracowni hygienicznej w Lublinie, której jesteśmy kierownikami. Ponieważ fakt podany przez korespondenta *Warsz. Dziennika* ma wszelkie pozory prawdy, ale tylko pozory, prosimy przeto Szan. Pana o umieszczenie w swojem piśmie wyjaśnienia, rozwiązującego należycie, zdaniem naszem, ową „niepożądaną zagadkę.“

Nietylko chemik, lecz każdy profan rozumie to dobrze, iż nieczystość naczyń i korków z najlepszej wody może zrobić szkodliwą do picia. Woda, przesłana nam do picia przez policyę miejscową, czerpaną była, o ile wiemy, przez ludzi niekompetentnych, bez zastosowania należytych, a przy braniu prób do analizy niezbędnych ostrożności. Wykonana w takich warunkach analiza nie miała oczywiście żadnego praktycznego znaczenia i o wartości wody w studni bynajmniej nie decydowała. Nic też dziwnego, iż woda z tych samych studzien, zaczerpnięta przez osoby kompetentne z zachowaniem wszelkich ostrożności, przy ponownem zanalizowaniu okazała się najzupełniej zdatną do użycia wewnętrznego. Sprzeczność w wyniku analizy powstała więc nie z naszej winy, lecz z winy policyi, która przy braniu prób wody nie zachowała niezbędnej w takich razach czystości, nalewając wodę przez nieświadomość do brudnych butelek i zatykając je następnie brudnymi korkami. Obowiązkiem naszym było analizę wykonać i o wyniku badania, bez wchodzenia w szczegóły, policyę zawiadomić.

Na zakończenie dodajemy, iż odezwaliśmy się jedynie we własnej obronie, aby się ochronić od podobnie przykrych uwag, jakie nas spotkały ze strony Pańskiego pisma.

Racz przyjąć Szan. Panie Redaktorze wyrazy szacunku i poważania.

Dr. med. *P. Jankowski.*
Dr. med. *S. Radomyski.*

KRONIKA.

Pomnik Mickiewicza. Komitet budowy pomnika Mickiewicza odebrał od p. Cypryana Godebskiego wiadomość, iż w upłynionym miesiącu dokonano w Pistoi w pracowni Filipa Lippiego trudnej i zawsze ryzykownej manipulacyi odlania posągu. Tym razem przedsięwzięcie uwieńczył jak najpożądańszy skutek. Jeszcze w sierpniu przybyć ma odlew do Warszawy.

Politechnika. W d. 4 b. m. odbyło się posiedzenie komitetu politechnicznego. Zatwierdzono wybór pp. Szyllera i Rogójskiego do opracowania planów i kierownictwa budowy. Do komisyi rewizyjnej wybrani pp. Leopold Kronenberg i Kunitzer, na ich zastępców pp. Feliks Czacki i Epstein. Dyrektora politechniki, p. Łagorio, upoważniono do zakupu materyałów niezbędnych w laboratoryach. Z sumy 100,000 rs., przeznaczonej na tymczasowe pomieszczenie politechniki, wyasygnowano 11,000 rs. zgórą na pokrycie należności kasie miasta za kwaterunek wojsk, dotychczas pomieszczanych w posesyi przy ul. Marszałkowskiej. Dotąd wniesiono 400 podań o przyjęcie do politechniki. Termin egzaminów konkursowych jeszcze nie naznaczony.

Szkoły. Ministeryum oświaty, jak donoszą gazety rosyjskie, uchyliło ostatecznie paragraf 43 przepi-

sów egzaminacyjnych dla uczniów szkół realnych, w myśl którego przejście z klasy VI do dodatkowej niedostępne było dla uczniów, posiadających przeciętny stopień egzaminacyjny niższy od $3\frac{1}{2}$. Rozesłany okólnik powiadamia, iż uczniowie, którzy ukończyli kurs sześciu klas gimnazyum realnego w oddziale zasadniczym, przyjmowani będą w roku bieżącym i latach następnych do klasy dodatkowej bez ograniczeń.

— Istniejąca w Częstochowie szkoła ogrodnicza p. Zawady zreformowaną będzie od 1 września r. b. Wychodząc z założenia, że duże są różnice między wiadomościami fachowemi, potrzebnemi ogrodnikowi w mieście a temi, z któremi oznajmić się musi ogrodnik wiejski, jeśli ma należycie odpowiedzieć swemu zobowiązaniu, podzielił p. Zawada w tym celu szkołę swoją na dwa oddziały: miejski i wiejski. Pierwszy z nich pozostaje nadal w Częstochowie pod kierunkiem pomocnika p. Zawady, drugi oddział otwarty będzie również 1 września we wsi Rudniki, pow. Wieluńskim. Uczniowie w Częstochowie nie płacą nic, nadto otrzymują pomieszczenie i życie. Uczący się ogrodnictwa wiejskiego w Rudnikach, nie wnoszą również żadnej opłaty, a oprócz utrzymania pobierać będą 25 rs. na ubranie. Warsztat pracy jest w Rudnikach bardzo rozległy; p. Zawada nabył z terytoryum dworskiego blizko 100 mórg ziemi odpowiedniej do przeznaczenia, i tu oprócz dalszego rozwoju i ulepszeń pięknego parku dworskiego, zaprowadzoną będzie na wielką skalę uprawa drzew i krzewów owocowych, warzyw i ogrodowizn, a niezależnie od tego mogą uczniowie korzystać z pasieki postępowej i racyonalnie rozwijanego rybołówstwa, znajdującego się na gruncie. Taki przynajmniej program zapowiada dotychczasowy kierownik szkoły ogrodniczej częstochowskiej. Jak będzie — okaże przyszłość. (Życzymy, ażeby było inaczej i lepiej, niż dotąd. *Red.*).

Szpital pragski. Prowadzone pod kierunkiem osobnego komitetu roboty przy rozszerzeniu nowego pawilonu szpitala pragskiego postępują szybko i przed nadejściem zimy, jak zapewniają wtajemniczeni, budowla pokryta będzie dachem. Pawilon ten, zwrócony frontem do ulicy Panieńskiej, ma długości 140 łokci i obliczony został w kosztorysie na 100 chorych, w połowie chirurgicznych. Podzielony na sale operacyjne, oddzielne pokoje dla chorych pensyonarzy, oddzielne dla chorych ciężko i 4 sale (po 34 łokcie długości przy 14 szerokości) dla rekonwalescentów, zaopatrzony będzie pawilon w ostatnie ulepszenia szpitalne, ogrzewanie parą i wentylacyę mechaniczną. Koszty budowy obliczone w przybliżeniu na 75,000 rubli.

Zmarli. Jerzy Ebers, znany egiptolog niemiecki i autor głośnych powieści z życia egipskiego.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 31 Іюля 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.